ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.



Nr. 8. 20. II. 1937

w numerze:

L. CHRZANOWSKI
KWESTJONARJUSZ PANA VON BOHLE

J. PEŁCZYŃSKI
WYBORY W INDJACH
(KORESP. WŁASNA Z BOMBAJU)

W. FIRSOFF
Z GÓR SZWECJI
(KORESPONDENCJA WŁASNA)

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA
DRZEWORYT W KSIĄŻCE, TECE I NA ŚCIANIE

POŁÓW PEREŁ

G. OLECHOWSKI
ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW
POWIEŚĆ

M. SZCZEPKOWSKA
KOBIETA W AUCIE
(NOWELA)

TEATR, KSIĄŻKA, FILM

EWA BANDROWSKA–TURSKA, ZNAKOMITA ŚPIEWACZKA ROZPOCZYNA SZEREG WYSTĘPÓW W TEATRZE WIELKIM

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII. Nr. 8 20. II. 1937

L. CHRZANOWSKI.

Kwestjonarjusz p. von Bohle

Pan ambasador Rzeszy niemieckiej w Warszawie założył protest przeciw mowie wojewody Grażyńskiego, wygłoszonej na pogrzebie wicewojewody Żgrzebnioka. Jakiż to konkretny, wojowniczy program wysunął w tej mowie p. wojewoda Grażyński?

Inkryminowany p a s s u s brzmiał: „Pochodzisz z Dziergowic, ale my niestety grzebiemy Cię w Rybniku. Twoja mogiła będzie tu nietylko znakiem odniesionych zwycięstw, ale również symbolem naszych niespełnionych jeszcze nadziei i tęsknot".

Musimy wyrazić uznanie sprawności dyplomacji niemieckiej. Działa. Występuje. Protestuje. Nawet tęsknot nie aprobuje!

Aktywność wzorowa, czujność godna pochwały.

W pamięci naszej nie zatarł się jeszcze nie tak dawny proces niemiecki w Katowicach, gdzie liczna gromadka obywateli polskich niemców za *czynną aktywność* przeciw całości naszych granic zmusiła sądy nasze do skazania ich na stosunkowo wysokie kary.

Ale poco sięgać w tak niedaleką przyszłość — w tych dniach zamieszkali w Polsce Niemcy, otrzymali od kierownika „Gau Ausland" p. von Bohle wiele mówiący kwestjonarjusz. Kto cokolwiek zna przedwojenne dokumenty i działalność ekonomicznego wywiadu niemieckiego przed rokiem 1914-ym, ten łatwo się zorjentuje, iż kwestjonarjusz p. von Bohle jest akcją wielce podobną.

Kwestjonarjusz p. von Bohle nie rejestruje marzeń, ani tęsknot, o nie! on ma zadanie bardziej realne. Zapytuje on Niemców pracujących poza granicami Rzeszy, a więc i tych co zatrudnieni są w Polsce, o szczegółowe dane z działalności placówek przemysłowo - handlowych. Von Bohle zapytuje o stan handlu i przemysłu tej gałęzi produkcji polskiej, w jakiej adresatniemiec pracuje w Polsce. (Nie ogranicza się to oczywiście tylko do Polski). Zamiłowania statystyczne p. von Bohle — są więc bardzo konkretne, wyraźne i... wścibskie. Tu, protest p. ambasadora Lipskiego, jest więcej niż wskazany przeciw tej planowej akcji wywiadu ekonomicznego na terenie Polski. *Przeciw akcji świadomej, przygotowanej, zakrojonej na szeroką skalę.*

Gdybyśmy chcieli przytaczać dane i szukać śladów podobnego... współżycia, to niewątpliwie wiele przykładów dałoby się przytoczyć.

Na ten temat w tygodniku „Odnowa" w artykule „Prusak w Polsce" ciekawe dane przytacza p. Karol Bader — oto jedna z cytat na użytek dzisiejszy: „Kiedy w wiosce mazurskiej zacznie się bijatyka i spór pomiędzy mazurami a „bosymi antkami", których folwark z Kongresówki i tu ściągnął, rychło padnie pod adresem antków groźba że „my wam pokażemy, kiedy Hitler tu przyjdzie". Żyje i ożywia niezachwiana wiara w powrot Prus, w ich niezwalczoną potęgę, trwa i krzepi mazura duch pruskiego naporu, ekspansji, i z tej wiary płynie ślepa wierność".

Tę wierność kwestjonrajusze à la pytania p. von Bohla podtrzymują i w agresywności hartują.

A „Zielony Sztandar" przynosi dane, że pod Grudziądzem w Tuszewie, w Grucznie pod Świeciem w krótkich odstępach czasu Niemcy nabyli 5 gospodarstw od Polaków. Jest to sprzedawczykostwo, pisze „Zielony Sztandar", ale często wywołane niemożnością znalezienia pomocy kredytowej polskich gospodarzy małorolnych.

Jakże dziwnie brzmi protest w stosunku do tęsknot — wobec takiej planowej, przemyślanej akcji w terenie naszego państwa.

POŁÓW PEREŁ



Rekonstrukcja „z głowy"

Bardzo zabawną wiadomość przynosi IKC. Oto powstał w jakichś sferach lwowskich spryciarzy projekt skonstruowania plastycznej panoramy dawnego Lwowa. Odbudować Lwów taki, jakim był przed rokiem 1772 — oto hasło, które rzuciło kilku pomysłowych panów, słusznie rozumujących, że przy każdej „imprezie" projektodawca i aranżer zgarnia zwykle... śmietankę dochodów.

Usiłowano wciągnąć zarząd miasta w tę sprawę, że to niby paląca pod względem kulturalnym, że prestiż, że ruch turystyczny, że tradycje, że duch historji, że Bóg wie co jeszcze.

Ba! — tylko że znalazł się ktoś przytomny — i kompetentny — kto w porę gminę Lwowa przed niefortunną imprezą ostrzegł. Dyrektor Muzeów miejskich, najlepszy znawca starożytności Lwowa, dr. Aleksander Czołowski, opublikował mianowicie broszurę, w której stwierdza, że uczciwe wykonanie tego rodzaju panoramy jest wogóle niemożliwością. Dla tej prostej przyczyny, że niema prawie żadnych śladów, jak Lwów naprawdę wyglądał przed rokiem 1772, a te nieliczne, które istnieją — nie dawały wcale pojęcia o całości miasta.

Pomysł zatem był — dosłownie dęty.

Jakby też projektodawcy „rekonstruowali" ów Lwów, o którym nikt nic nie wie?

Z głowy, rzecz prosta! Wartoby nad tem przysiedzieć fałdów. Bo przecież ustalili, że kosztorys wstępny owej panoramy wynosiłby 715 tysięcy złotych.

Za taką sumę można całe miasto wymyśleć. Czemu nie?

Rozkosze nowego mieszkania

Nazajutrz po przeprowadzce.

— Jakże się tu czujecie? Instalacje w porządku? Woda jest?

— Dziękuję, jako tako. Tam, gdzie napisane „gorąca" — płynie woda zimna. Zato tam gdzie napisane „zimna" — nie płynie wogóle nic...

O ten język...

W dniach najbliższych przybędą do Polski na polowanie reprezentacyjne dwaj ważni goście: zapalony nemrod, wielki łowczy Rzeszy, gen. Goering, ogromny nasz od niedawna przyjaciel. I drugi nasz przyjaciel, prezydent Senatu gdańskiego, pan Greiser.

— Który Greiser? Ten, co to w Lidze Narodów?...

— Ten sam.

— Oj, czy się aby oduczył pokazywania języka w przyzwoitem towarzystwie? Nasz szef protokółu, hr. Romer, może mieć poważne kłopoty...

Oszczędności.

„Grypa nie słabnie... Ranki i wieczory we łzach jej czekam i trwodze" — powtarzają w stolicy szerokie rzesze tych, którzy płacą składki w Ubezpieczalni. Skąd ta trwoga? Tylko stąd, że brak jest w Ubezpieczalni lekarzy.

— To doangażować zaraz bezrobotnych lekarzy prywatnych — znajdzie praktyczną radę zwykły śmiertelnik.

Oczywiście. Ubezpieczalnia sama wpadła na ten pomysł. Zwróciła się do lekarzy z tą propozycją. Odzew jej jednak pozostał niemal bez rezultatu. Trudno się dziwić: zaofiarowane przez Ubezpieczalnię „honorarjum" lekarskie wynosiło, jak podaje Prasa Czerwona — okrągło 1 zł. 45 groszy za wizytę.

Posłańcowi za odniesienie listu płacimy według taksy złotówkę. Hojna Ubezpieczalnia dołożyła lekarzom coś nie coś. I jeszcze im mało?

Zwyrodnienie.

Bardzo cenię Monopol spirytusowy. Nie, dziękuję, nie piję. Ale używam wielu leków na spirytusie, mam w domu dwie maszynki Emes, bez których sobie nie wyobrażam życia, posiadam lampę „monopolową" Rusticus. Doskonała. (Tych parę ciepłych słów dedykuję Monopolowi Spirytusowemu najzupełniej bezinteresownie)...

Ale nie znoszę pijaków. I może mam rację?

Wystawa Antyalkoholowa, otwarta ostatnio w Warszawie, niezmiernie jest interesująca. Każdy — dosłownie każdy — powinien ją obejrzeć. Niektóre rewelacje są poprostu wstrząsające.

Okazuje się z niepodejrzanych statystyk, że mamy już całe pokolenie *pijaków - dzieci!* W Wilnie na 10 tysięcy zbadanych dzieci, 86% pije!

2.4% dzieci pije *codziennie*. Są to już zdecydowani nałogowcy.

Czy gospodarczo stać nas na taki smętny zbytek?

Oto odpowiedź: w roku 1928 polacy przepili miljard 444 miljony złotych. Narzekamy na nędzę — i jesteśmy w nędzy — w skrajnej, czarnej nędzy, o jakiej żaden kraj Europy Zachodniej nie ma nawet pojęcia. Tamte narody bogate spożywają wszystkiego więcej od nas: w Belgji na głowę mieszkańca przypada roczne spożycie pszenicy 204 kg., w Polsce — 42 kg.

Anglik spożywa rocznie 65 kg. mięsa, polak — 20 kg.

Francuz spożywa cukru 26 kg., polak — 11,3 kg.

Każdy anglik (przeciętnie biorąc) posiada 7982 zł. oszczędności. Każdy polak... 33 złote...

Więc nędza. Poparta liczbami.

Ale zato — pijemy. Hoho, i jak jeszcze!

Anglik rocznie wypija 0.72 litra spirytusu. Niemiec — 1.19 litra. Polak — 1.41 litra. W roku 1928, w czasie dobrej konjunktury, wypijaliśmy nawet po 2 litry na głowę.

A skutek?

Zbadane potomstwo rodzin pijackich wykazało, że 82,5% dzieci — to zwyrodnialcy.

Uparty nurek

W. FIRSOFF.

OBRAZEK Z GÓR



Ormberget w Härjedalen *fot. Firsoff.*

Wśród ciemnych sylwetek sosen snują się czerwone ognie, biegną gdzieś naprzód, migotliwe, niepewne, gałęzie sosen pochylają się nad saniami nisko, nisko; odblask pochodni pada żywy i drżący na śnieg, śnieg ucieka różowemi wydmami wstecz... To jest Szwecja, i sosny są Szwecją. Jestem zmęczony, leżę wtulony w ciepłą baranicę, z głową opartą o plecak na dnie wielkich płaskich sań, które ciągnie krótkonogi, niezgrabny, włochaty koń.



W marszu *fot. Firsoff.*

Jest trochę za krótko, nogi mam podkurczone. Obok — ciemnowłosa Szwedka w białej wiatrówce i mój towarzysz z ostatniej wycieczki. Karawana sań sunie przez las. Lewa ręka, w której trzymam pochodnię, zmarzła mi trochę. W uszach drży melodja walca — nasze sanie śpiewają — jest nas sześcioro — inne też... „Han drömmer om flickornas kramsar i Amsterdams glädjekvarter... om svävande bruyyyna been"...

Wracamy do Ljusnedal. Dzisiaj były zawody w Funäsdalen, startowałem w slalomie, spoczątku miałem drugie, potem — piąte miejsce w klasie A. Przedtem — przedtem było słońce i wicher miótł śnieżną kurzawę po szreni, było małe schronisko w Stentjärnarna, wioska lapońska w Storvallen... Ciemny las przystąpił ze wszystkich stron. Leżę, a nogi mi jadą i jadą, zakręcam wlewo — na szczyt Helags opadła chmura... nie, zdrzemnąłem się, o mało co nie upuściłem pochodni.. To jest Szwecja — Sverige — du gamla, du tysta...

Nad górami Skandji zawisła duma prastara, odwieczna, duma surowa i poważna; nie są mętne, są tylko dziwne, rozległe, szerokie i puste, jest w nich coś z krzyku ptaków wędrownych, z pierwotnego cichego bohaterstwa. W dolinach rośnie las szpilkowy, rzadki i milczący, wyżej, pod pustkowiami fjeldów rozłożyły się zarośla karłowatej brzozy. Zamarznięte jeziora bieleją wielkiemi płaszczyznami śniegu. Niebo jest niskie jak sufit w starym domu, podkreślone białemi pierzastemi obłokami, wieje wiatr, świeci słońce, jest gorące i jasne...

Dziś rano opuściliśmy przetłoczone schronisko Helagshyddan. Izba, w której spałem, przeznaczona była na 4 osoby, nocowało w niej jednak 18. Nad piecem zwisały istne kaskady suszących się butów, cała podłoga, zaścielona skórami renów, służyła za obszerne legowisko. Słychać było wszystkie języki Skandynawji: szwedzki, norweski, duński. Jeden Duńczyk z długą latarką elektryczną u pasa, w białym nieprzemakalnym owerolu i miękkich lapońskich mokasynach chodził i ciągle coś przewieszał. Przed schroniskiem na głębokich wydmach rósł cały las nart a kilka napół zamiecionych śniegiem pulek czekało cierpliwie na wyruszenie w drogę.

Pogoda była mętna, więc nikomu nie śpieszyło się w drogę. Gęsta, mleczna mgła zupełnie pochłonęła krajobraz. Kurzyło. Wkońcu jednak, po długich naradach nad smarowaniem i przeciągłem, a obfitem śniadaniu, wyruszyliśmy. Minęliśmy nieskończone szeregi słupów z rozciągniętą między niemi siatką drucianą, ogradzające zagrody dla renów, zjechaliśmy poprzez białą nicość długiem, słabo pochyłem zboczem i potem jeszcze przeszło 2 godziny wędrowaliśmy przez mgłę.

Teraz znajdowaliśmy się pod kopulastem wzniesieniem szczytowem bocznego ramienia masywu Helagsfjället (1796 m npm.— najwyższy szczyt Szwecji środkowej). Szliśmy szybko, ukosem pod stok, długim wężem — jeden za drugim tym samym śladem, jak Pan Bóg i zwyczaje miejscowe przykazały. Wiatr wprawdzie przycichł, ale prychał jeszcze od czasu do czasu śnieżnym pyłem spod desek, tnących małe, zbite „gipsowe" fale. Jak na góry szwedzkie, było stromo — około 30 st. W pewnej chwili zbuntowałem się, i, tłumacząc przewodnikowi, że u nas tak się nie chodzi, bo się traci wzniesienie, zacząłem samopas łukiem okrążyć żleb, reszta jednakże, wierna tradycji, dążyła jednym śladem i przyszła na miejsce o 10 minut później. W odległości

NARCIARSKI
SZWECJI

kilku kilometrów za nami rysowały się na tle mknących strzępów chmur 3 wierzchołki Helagsfjället, opadające stromemi skalistemi progami ku wciśniętej między nie dolince.

W tem „miejscu", o którem wspomniałem, a które nie różniło się niczem szczególnie od innych okolicznych „miejsc", zdjąłem z nietajoną rozkoszą ciężki wór ze stalowem rusztowaniem, t. zw. „mes", a poczuwszy się wolny, pomknąłem wdół, kreśląc krystjanjami ciężki gips. Zbocze wydawało się malutkie, ale po chwili stwierdziłem, że ujechałem przeszło kilometr, i musiałem piąć się spowrotem. Tymczasem całe moje towarzystwo rozpierzchło się po stoku. Jeździli z wielką odwagą i determinacją, ale technika zjazdowa była wątpliwej jakości, mimo to padali rzadko.

Wydobyłem się znów na górę, a posiliwszy się mocno gorzkawą kawą z obowiązkowego termosu, (który w Szwecji można nabyć za złoty i 80 gr.), tudzież kawałkiem „Wasabröd" z masłem i jakimś piekącym serem konsystencji mokrej gliny, wznowiłem swą działalność szeregiem skomplikowanych obskoków, które szerszemu ogółowi szwedzkich narciarzy są najzupełniej nieznane. Stary Lapończyk, który nam towarzyszył, o twarzy ułożonej w labirynt gęstych, drobnych zmarszczek i rubensowskiej obfitości kształtów przypatrywał się z nieufnością „djabelskim sztuczkom". Sam był wmontowany w wąskie biegowe deski dwu i półmetrowej długości, przytwierdzone do futrem nawierzch wywiniętych, szpiczastych butów z reniej skóry jednym poprzecznym rzemieniem, mniej więcej takie same, jak 2000 lat temu w epoce walki o ogień, gdy człowiek północy po raz pierwszy dosiadł drewnianego rumaka.

Ale godziny szły, a do Stentjärnarna było jeszcze daleko. To też ruszyliśmy dalej w oślepiającym blasku śniegów, bijącym w zasłonę ciemnych okularów, przepaleni słońcem, przedmuchani wichrem, szybcy, raźni i weseli.

Błękitna sylwetka Helags



Alpersinrast. W głębi Helagofjället. *fot. Firsoff.*

tchnęła przedwieczną pustką mamuciego lądolodu. Na zachodzie rozłożyły się białe łańcuchy norweskich gór. U naszych stóp leżały rozległe, kamieniste fjeldy Stenjärnarna, zapadające się w ciemne lasy dolin, za któremi wyrastała biała Anafjället — jakie 30 km w linji powietrznej stąd, a za nią kryło niewidoczne Ljusnedal. Daleko na śnieżnem zboczu czarnemi kropkami widniało stadko renów.

I jeszcze jeden odpoczynek na szczycie. Słońce schodzi coraz niżej, skośnemi promieniami leje się przez przełęcz. Daleko, wśród maliniaków — czarny punkcik — schronisko... Z sykiem stalowe kanty tatrzańskich nart tną skandynawską szreń. Wydma, kamienie, odwiane porosty, błękitny lód zamarzniętego jeziora i znowu biały stok... Wdół!... wdół!... wdół!... Wreszcie mały czerwony drewniany budynek, białe okienice — schronisko. Śniegi płoną, słońce zachodzi...

Robimy porządki, rąbię grube drwa. W kominie — śnieg, nie chce się rozpalić, pełno dymu. Szybko przychodzi wieczór... Czerwona, nieco przesolona renina, słodka zupa owocowa, wszystko upitraszone na poczekaniu, ale przewyborne zakąski, kawa... Trzymamy się za ręce, siedząc dokoła długiego stołu, i śpiewamy. — Ja, jako dość podejrzanej muzykalności indywiduum, bardzo pocichu.

Potem zawijam się w swój cienki kocyk, przytulam się do szarej skóry rena; jest nieco zimno, zasypiam. Może coś mi się śni. Nagle budzę się — czyjaś ręka leży mi na ramieniu, i pochyla się nade mną ładna, opalona dziewczęca twarz. Wstaję, idę, zaspane nogi zaplatają mi się zlekka, siadam na składanym fotelu przed kominkiem i dorzucam polana w czerwony ogień. Rozmawiamy jeszcze przez chwilę przyciszonym głosem, potem ona idzie spać. Ktoś chrapie zlekka...

Następnego dnia mieliśmy przeszło 30 km drogi do Ljusnedal. Było pogodnie.



O zachodzie *fot. Firsoff.*

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

DRZEWORYT W KSIĄŻCE, TECE I NA ŚCIANIE

Jeśli w naszem wybitnie antyartystycznem społeczeństwie wogóle mówić można o odłamie sztuki, który zdobył sobie szerszą popularność — to wymienić należy przedewszystkiem grafikę. Czy płynie to z wrodzonego zamiłowania, czy też wywołane zostało przez wyjątkową świetność naszej współczesnej grafiki — przesądzać trudno. Jest to jednak fakt niezaprzeczony, że ten sam „miłośnik sztuki", który ziewa na wystawie rzeźby, znudzonem okiem błądzi po obrazach, a obok dzieła architektonicznego przechodzi wogóle go nie widząc — ten sam miłośnik ma dla grafiki niewątpliwe, cieplejsze uczucia.

Dlatego powinno się rozbudzone już zamiłowania naszej publiczności podtrzymywać i kształcić — zarówno przez urządzanie częstych wystaw grafiki, jak przez popularyzowanie samej grafiki od strony czysto technicznej, przez wydawnictwa specjalne, pogłębiające wiedzę szerokiej publiczności w tym zakresie.

Wystawy graficzne w ostatnich latach organizowane na terenie stolicy — (w Muzeum Narodowem, w Zachęcie i IPS-ie) — były przeważnie niezwykle interesujące i doskonale spełniały swe zadanie. Natomiast wydawnictw, poświęconych specjalnie grafice mamy dotąd stosunkowo niewiele — z tem większą radością wypada powitać niewielką rozmiarami, ale bogatą w treść książkę Tadeusza Cieślewskiego syna, *„Drzeworyt w książce, tece i na ścianie"*.

Napisał ją świetny, rasowy grafik — przeto strona „fachowa" tej pracy nie pozostawia nic do życzenia, choć wyrażone w niej poglądy mogą się wśród „speców" nadawać do ciekawej dyskusji. A że Cieślewski włada doskonale nietylko rylcem, ale i piórem — wykład jego o graficznej rasowości drzeworytu jest żywy, zajmujący, napisany barwnie, a przez swą konkretność zrozumiały nawet dla ludzi, nic wspólnego ze sztuką nie mających. Dowiedzieć się z tej książki można wiele.

Każdy widz lubi piękny drzeworyt. Każdy mniej więcej wie, że odrodziła się ta sztuka niedawno, że była to właściwie zasługa jednego artysty — Władysława Skoczylasa — wskrzesiciela drzeworytu polskiego. I każdy bez zająknienia powtarza to co słyszał od innych, że sztuka Skoczylasa wywodzi się od drzeworytu ludowego. Tymczasem Cieślewski — sam drzeworytnik i uczeń Skoczylasa — obala ten pogląd. Oto co pisze:

„Mówi się aż do znudzenia o oparciu się estetyki xylograficznej Skoczylasa o drzeworyty ludowe. Tak, ale tylko jeżeli chodzi o syntetyczność lapidarnej narracji wizerunkowej i dekoracyjną rytmizację form jako fragmentów i kompozycji całości. Różnica jednak, duża nawiasem mówiąc, leży w tem, że autor „Teki Zbójnickiej" używał obficie pełnej czerni, której brak w drzeworycie ludowym, i nie używał (poza drobnemi fragmentarycznemi wyjątkami) czarnej, długobieżnej konturowej linji".

A dalej czytamy:

„Do ostatniego posunięcia rylcem czy dłutkiem Skoczylas pozostał wierny drzeworytowi białemu na czarnym i jako taki stał się nietylko odrodzicielem xylografji w Polsce, ale inicjatorem xylografji graficznie rasowej".

Tu czytelnik może się zastanowi: Jakto? — przecież nawet artyści wybitni dają często drzeworyty czarne na białem tle, i



„Święty Jerzy w walce ze smokiem".
Polski drzeworyt ludowy.

niejednokrotnie są to drzeworyty bardzo piękne. Czyżby to nie były prawdziwe drzeworyty? Należą do nich np. prawie wszystkie prace Chrostowskiego w Polsce, cała niemal współczesna grafika rosyjska, a, sięgnąwszy w przeszłość — całe drzeworytnictwo ludowe, drzeworyty książkowe z XV wieku etc. Czy to wszystko nie należy do rasowej xylografji?

Cieślewski twierdzi że nie. I twierdzenie swoje popiera dowodzeniem bardzo logicznem, wyjaśniając na podstawie techniki drzeworytu, co w jego mniemaniu nazwać można drzeworytem rasowym, a czego nie.

Stare drzeworyty, stanowiące w wieku XV ilustracje do książek — nie były zdaniem Cieślewskiego wogóle drzeworytami w znaczeniu dzisiejszym. Bo nie tworzył ich artysta drzeworytnik, tylko według cudzego rysunku czy minjatury czy obrazu wykrawał je w klocku drewnianym rzemieślnik, stosując technikę ściśle linearną, czarną na białym, przeciwną naturze drzeworytu. Był to więc właściwie sposób powielania jakiegoś rysunku przez odbijanie go z klocka — ale ze sztuką drzeworytniczą nie miało to przeważnie nic wspólnego. Ubóstwo czarnej kreski na białem tle dawało raczej wrażenie rysunku piórem — pozbawione jednak było wszelkich walorów prawdziwej faktury xylograficznej.



„Chrystus na górze oliwnej"

Rycina śrutowa 1460 r.

W tym samym czasie istniał przez lat kilkadziesiąt pewien typ drzeworytu interesujący się właśnie fakturą xylograficzną i jej możliwościami. Stosowano tu obficie różne rodzaje dotknięć rylca, jak kreskowanie, kratkowanie, centki, linje faliste, co w rezultacie dawało technikę bogatą i bardzo interesującą. Technika ta, zwana ryciną śrutową, stosowana była w wieku XV przez lat zaledwie 50. Pozostało około 700 rycin tak wykonanych, niezawsze ciekawych z punktu widzenia artystycznego, zawsze jednak wysoce interesujących ze względu na fakturę.

Dopiero w drugiej połowie wieku XVIII anglik Thomas Berwick dokonał, jak pisze Cieślewski „odkrycia Ameryki xylograficznej". Od niego też właściwie zaczyna się drzeworyt rasowy, nietylko bowiem rytował on biało na czarnem, zgodnie z naturą techniki xylograficznej, ale i był rytownikiem własnych swoich rysunków nie zaś rzemieślnikiem, pracującym według cudzych wzorów.

W wieku XIX rozwinął się drzeworyt nie jako sztuka samodzielna, lecz interpretacyjna. Miał on za wyłączne niemal zadanie odtwarzanie w ilustracji dzieł malarskich, czy rzeźbiarskich, i jako taki był, technicznie biorąc, zaprzeczeniem drzeworytu artystycznego. Liczne ilustracje, jakie spotykamy w ówczesnych książkach i wydawnictwach wykonane były tą właśnie techniką — zaznaczyć zresztą należy, że technika ta była doprowadzona do perfekcji. W Polsce najbardziej znanym drzeworytnikiem tego typu był Holewiński.

Nie znaczy to, abyśmy wcale nie mieli drzeworytników samodzielnych, rytujących własne dzieła drzeworytników - artystów. Cieślewski przypomina nazwisko Wincentego Smokowskiego, nazywając go Skoczylasem XIX-go wieku.

W końcu wieku XIX-go sztuka europejska a wraz z nią i drzeworyt na czas jakiś ulega wpływom odwiecznych tradycji sztuki drzeworytniczej japońskiej. Dopiero zaranie wieku XX-go stało się właściwą nową erą drzeworytu, tym razem drzeworytu rasowego, przyczem zauważyć się dają trzy różne kierunki techniczne: drzeworyt biały na czarnem — którego przedstawicielami w Polsce są Skoczylas, Mro-



Drzeworyt T. Cieślewskiego syna.

żewski, Cieślewski syn, Fijałkowska, Zylberberg i inni. Drzeworyt czarny na białem tle — według autora jest to drzeworyt nierasowy, sprzeczny z naturą techniczną drzeworytu — rodzaj ten uprawia u nas z powodzeniem Chrostowski. Współcześni xylografowie sowieccy — (wywołujący u nas bezkrytyczne zachwyty) — także hołdują tej fakturze. Wreszcie rodzaj trzeci — płaszczyznowy, gdzie artysta osiąga zamierzone efekty nie linją białą na czarnym, ani linją czarną na białym, lecz przeważnie zestawieniem płaszczyzn biało-czarnych. Typowe dla tego kierunku są we Francji drzeworyty Vallotton'a, w Niemczech Käthe Kollwitz, u nas — Kulisiewicza, Wąsowicza, Kłopockiej.

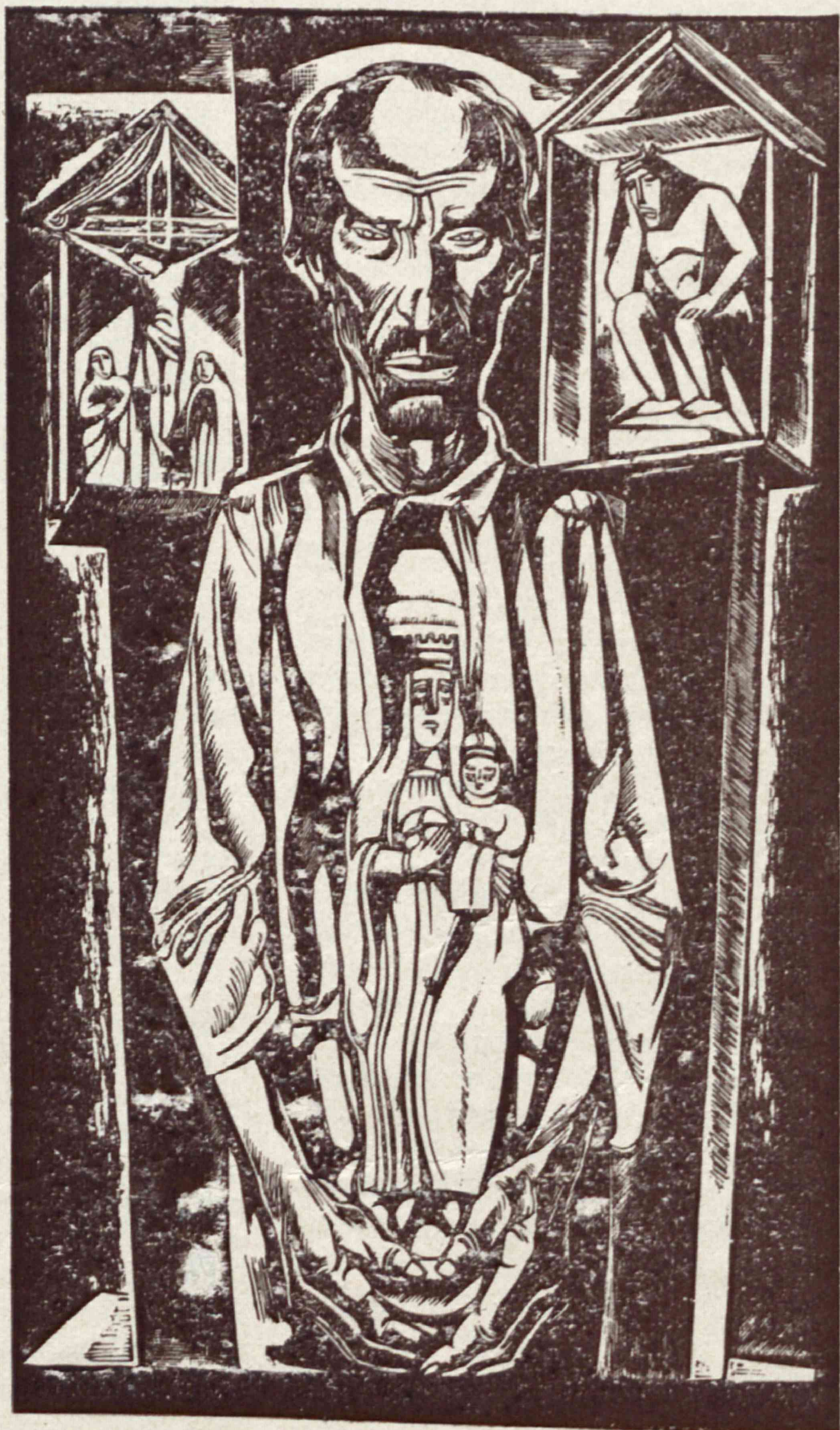
Dalsze rozważania poświęca Cieślewski sprawie, czy drzeworyt powinien być, jak twierdzą niektórzy, sztuką poświęconą wyłącznie ilustracji książek, czy też ma do odegrania rolę samodzielną. Autor sądzi — i słusznie — że niepodobna spychać drzeworytu tylko do roli ilustracyjnej, choćby dlatego, że nie każdy drzeworyt da się w te ramy wcisnąć.

„Zabawna moda utylitaryzmu stająca się już snobizmem, a mająca swe źródło w zordynarnieniu cywilizacji, wzrusza ramionami na coś tak aspołecznego, indywidualistycznego, czy jak tam jeszcze, jak teka miłośnika i znawcy grafiki" — ze zrozumiałą pasją pisze Cieślewski. I broni dalej wymownie drzeworytu samodzielnego, tego drzeworytu, którego miejsce jest w tece i na ścianie, cytując przykłady drzeworytów, kwalifikujących się do takiego czy innego zastosowania.

Więc np. rozmiarami swemi i rozmachem ani Mrożewski, ani Kulisiewcz nie nadają się jako ilustratorzy książek. Mrożewski jest typowym grafikiem, którego dziełami najpełniej lubować się można w tece, gdy powoli, z namysłem wnikamy w całe bogactwo jego sztuki. Prace Kulisiewicza zarówno jak i Skoczylasa techniką swoją raczej nadają się na ścianę — przez swą zwięzłość fakturową i wyrazistość kompozycji. To samo rzec się da o Kłopockiej czy Wąsowiczu.

Tak więc stoją przed odrodzonym nowoczesnym drzeworytem różne możliwości. Artyści — zależnie od swych upodobań — ilustrować będą książki, lub tworzyć dzieła samoistne, przeznaczone dla „smakoszów" — zazdrośnie ukryte w tece, czy zawieszone na ścianie. Życzyć tylko należy, aby tych smakoszów było jak najwięcej, aby bujnie się rozwijający wskrzeszony drzeworyt polski znalazł jako szlachetna sztuka jak najszersze zastosowanie.

Przypuszczalnie książka Cieślewskiego choć



T. Kulisiewicz — „Świątkarz" (drzeworyt).

nieprzeznaczona dla bardzo szerokiej publiczności, choć w nielicznej ilości egzemplarzy bardzo pięknie wydana — przyczyni się do wyjaśnienia miłośnikom naszym wielu wątpliwości, a wśród fachowców stanie się punktem wyjścia wielu płodnych, miejmy nadzieję, dyskusji. Napisana doskonale, wydana niezmiernie starannie przez Towarzystwo Bibljofilów Polskich, piękna w układzie graficznym, praca Cieślewskiego jest pocieszającym dowodem, że istnieje jeszcze w Polsce garstka ludzi, naprawdę interesujących się pięknem.

Nie mogę tylko w tej litanji pochwał pominąć usterek, które w wydawnictwie tego typu zdarzać się nie powinny. Utarło się u nas ostatnio z konieczności, że gazetom i czasopismom wybacza się błędy korektorskie. Przy pośpiechu pracy dziennikarskiej i ograniczonych środkach usterki takie są niestety nieuniknione. Wybacza się je u nas obecnie i książkom, co jest już trudniejsze do uzasadnienia. Nie można ich jednak ani tolerować ani wybaczyć w wydawnictwie luksusowem, bibljofilskiem, przeznaczonem dla ludzi, którzy kochają nietylko piękną szatę zewnętrzną książki, nietylko druk, papier i ilustracje — ale i jej treść, i jej wykończenie. Błędy takie jak *„mataloryt"* zamiast metaloryt. *„Skaczylas"* zamiast Skoczylas. *„Piranezi"* zamiast Piranesi — w wydawnicwie *Bibljofilów* są niewybaczalne.



Wł. Skoczylas — „Stary baca" (drzeworyt).

Ilustracje niniejszego artykułu pochodzą z książki T. Cieślewskiego syna „Drzeworyt w książce, tece i na ścianie".

RADA KSIĄŻKI

Staraniem kilkunastu organizacyj, skupiających autorów, wydawców, księgarzy, bibliotekarzy i innych zawodowych pracowników książki, powstaje stowarzyszenie p. n. RADA KSIĄŻKI, mające na celu propagandę książki polskiej w kraju i zagranicą, krzewienie czytelnictwa i kultury książki, uprawę wiedzy o książce i rozpowszechnianie jej w społeczeństwie, doskonalenie metod wytwarzania i obiegu książki, koordynowanie działań poszczególnych grup pracowników książki itp. W tych dniach odbyło się zebranie organizacyjne, na którym przedyskutowano i przyjęto projekt statutu, powierzając zarządowi przedstawienie go do zatwierdzenia władz. Do zarządu zostali powołani pp. min. August Zaleski (prezes), Jan Parandowski (v.prezes), Pan Piątek (sekretarz), Mieczysław Rulikowski (skarbnik), Wacław Gebethner, Zdzisław Kleszczyński, Wanda Melcer, Michał Rusinek, Melchior Wańkowicz. Z pozostałych dwuch miejsc w zarządzie jedno przeznacza się dla delegata Związku Bibliotekarzy Polskich, drugie dla jednej z organizacyj zawodowych, które nie zgłosiły dotąd akcesu do Rady Książki. Na odbytym po zebraniu pierwszym posiedzeniu zarządu załatwiono najważniejsze sprawy bieżące, m. in. mianowano kierownikiem biura p. Jana Muszkowskiego.

Biuro Rady Książki mieści się tymczasowo w lokalu Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Warszawa, Zielna 17 m. 8, tel. 7-76-96.

J. PELCZYŃSKI

WYBORY W INDJACH

(Pocztą lotniczą od wł. korespondenta specjalnego)

15 lutego całe Indje wybierały nowy Parlament, na zasadzie gruntownie zmienionej ordynacji wyborczej, uchwalonej i zatwierdzonej przez rząd Brytyjski, po słynnej Round Table Konferencji w Londynie kilka lat temu, kiedy Gandi rozpoczął swój słynny ruch narodowy, dążący do odzyskania zupełnej wolności dla Imperjum Indyjskiego.

Do wyborów tych przywiązują tu wielkie znaczenie. Mogą one całkowicie zmienić ustosunkowanie się Hindusów do rządu brytyjskiego i jeśli nie wywołają natychmiastowej rewolucji, w każdym razie rozpoczną nową kartę w historji walki o niezależność tego, tak wielce mistycznego i najstarszego swą kulturą kraju na świecie.

Dlatego redakcja naszego tygodnika wysłała specjalnego korespondenta, który czytelnikom przyniesie wrażenia bezstronnego obserwatora, zwracając uwagę nietylko na stronę czysto polityczną, ale także religijną i socjalną, które w Indjach są ze sobą ściśle związane.

Bombaj, 4.II.MCMXXXVII

Nie przypuszczam, aby czytelników moich interesowały fakty związane z samą podróżą, zawinięciem do portu, pierwszemi wrażeniami ciekawego podróżnika w kraju egzotycznym, o której godzinie jadłem śniadanie, a która była, kiedy przeraźliwy kwik szczura obudził mnie ze snu w najlepszym bombajskim hotelu w czasie zmagania się ze swym nieubłaganym najeźdźcą— kotem, który sam żyjąc bardzo leniwie, innym, z niewiadomych dotychczas powodów odmawia prawa do życia, zapominając, że wszyscy byliśmy braćmi w arce Noego.

Wyręczą mnie w tym inni moi koledzy po fachu, którzy długo lubią rozwodzić się nad własnymi wrażeniami. Przejdę więc odrazu do celu moich inwestygacji.

Całe Indje są w pełni kampanji przedwyborczej. Jako wielki prorok przepowiedzieć mogę kto zwycięży: zwycięży t. zw. Congress Party. A to dla tej prostej przyczyny, że lud w Indjach — w liczbie około 370 miljonów — za wyjątkiem kilkunastu miljonów zamożnych sfer, popiera Gandiego i jego następcę Pandit Jawaharlal Nerhu, przyszłego dyktatora Indji.

Jawaharlal jest już od roku 1930 prezydentem partji „Indyjski Kongres Narodowy", która do nowego parlamentu prowincjonalnego wejdzie druzgocącą większością.

Stara legislatura obraduje właśnie w Delhi, dokąd przyjechałem na otwarcie ostatniej sesji, poto, żeby skonstatować, że cała opozycja sesję tę poprostu zbojkotowała, uważając, że ważniejszem zadaniem jest odpowiednie przygotowanie opinji publicznej do nowych wyborów, aniżeli obecność na ceremonji pogrzebowej. A że opozycja, t. zw. Partja Kongresu (nie należy mieszać pojęcia „Congress", używanego w Indjach dla określenia tejże partji opozycji, ze znaczeniem jakie to słowo posiada w Stanach Zjednoczonych, gdzie oznacza Zgromadzenie Narodowe) stanowi ogromną większość w Parlamencie, zastałem ławy izby poselskiej prawie puste. Jeden jedyny poseł reprezentował liczną opozycję na sesji, reszta zaś rozjechała się po prowincjach dla wzięcia udziału w walce przedwyborczej.

Ze strony rządu zwołanie sesji parlamentu w okresie najgorętszej walki przedwyborczej, było oczywiście zwykłym manewrem politycznym, aby odwrócić uwagę posłów od zbyt gorliwej pracy nad zwycięstwem Partji Kongresu w przyszłej legislaturze.

Wybieg ten jednak się nie udał, gdyż leader opozycji na terenie parlamentu stanowczo protestował przeciw zwoływaniu sesji w okresie przedwyborczym, zapowiadając, że udziału w niej „Kongres" nie weźmie, gdyż pierwszym obowiązkiem obywatela posła jest w okresie przedwyborczym czas swój całkowicie poświęcić wyborcom, i jeśli rząd nie uznał za właściwe, czy możliwe zwołanie sesji w okresie bardziej odpowiednim, opozycja uchyla się od odpowiedzialności, a udziału w sesji nie weźmie. Podstęp rządu spalił na panewce.

Istotnie obraz jaki sesja ta przedstawiała dla przybysza z zamorskich krajów, wyglądał jak odczyt urządzony przez miernego prelegenta o nieciekawym temacie, na który oprócz przewodniczącego i rodziny nikt się nie zjawił.

Po pustych korytarzach parlamentarnego budynku dnia tego przechadzało się więcej woźnych niż posłów. Skorzystałem jednak z tej sposobności by ściślejszy kontakt nawiązać z partją prorządową oraz liberałami, którzy tutaj reprezentują opinję konserwatywną. Konserwatywny liberalizm jest więc możliwością w Indjach, podczas kiedy w starej zaśniedziałej Europie zdaje się, że są to dwa poglądy, których pogodzić nie można. Nie zdziwiłbym się, gdyby jutro znaleziono sposób na wytłumaczenie kotowi, że szczur też jest stworzeniem boskim.

Tymczasem nadchodzą już ostatnie wiadomości z pola walki wyborczej: 1 zabity z partji Kongresu, ze stu pięćdziesięciu miejsc w jednym okręgu — 50 już należy do partji Kongresu, 8 zaś do wszystkich innych ugrupowań. Za kilka dni „proroctwo" rozstrzygnie rzeczywistość. Indje oblecze inna szata nacjonalizmu, którego wodzem jest Nerhu, zdecydowany komunista w swych poglądach, mimo to, że Partja Kongresu jest daleka od osobistych poglądów swego prezydenta.

Takie bywają sprzeczności misterjów wschodu.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Starsi panowie godzinami wystawali pod „mostkiem niespodzianek", po którym przechodziły z piskiem i źle udawanem przerażeniem urocze dunki, gruntownie przygotowane na to, że w pewnym punkcie wicher arcysilnego wentylatora, umieszczonego w moście, podnosił im szatki tak bez zastrzeżeń, że nie pozostawiał już obleśnym panom nic więcej do życzenia — chwilowo. Po drugiej stronie mostu można już było traktować o wymianę usług, bez ryzyka.

Młodzież wolała labirynt lustrzany, bo tam można się było zgubić i obserwować niesamowitości ruchów miłosnych.

Pani Johnson była wszędzie, bo musiała wiedzieć — kto, gdzie, jak i z kim. Trzeba pomagać mężowi w zbieraniu informacji. *God save the King.*

Sullivan zacierał ręce, bo rozumiał — co za intuicja w pospolitym człowieku, — że to rozproszkowanie energji, myśli, uwagi — da niechybnie w rezultacie pełną urnę popiołu, który będzie można złożyć w trumnie ze złota.

Doria był w swoim żywiole. Przebolał wyjazd rodziny Rayów, listów już do narzeczonej nie pisywał, tylko karty, od chwili gdy doszła go wiadomość, że Ray stracił na wadze u „czynników decydujących". Pracował teraz dużo, bo to na oczach samego Ministra, wieczorami towarzyszył — całemu Tivoli.

Już wszystkich znał. Już ze wszystkimi był w zażyłej przyjaźni. Już miał na miesiąc naprzód zapisany kalendarz — co, kiedy, gdzie, u kogo. Już wszyscy znali historję jego rodziny. Co za stosunki, co za perspektywy: — tu Mistrz, tam wódz partji radykalnej Francji, ówdzie szef rządu Gwatemali, to znów gruba ryba z Labour Party, z Confédération Générale du Travail, dziś Konspirin, jutro książe Donnersmark, jeden Rotszyld, dwóch lordów, trzech maharadżów. Zakochała się w nim jedynaczka delegata Argentyny. Posiada dwa miljony baranów. Trzeba się stopniowo wycofać z karjery polskiej. Karty do Paulinki będą coraz chłodniejsze.

Konspirin bywał co dnia w Tivoli. Z przebiegu wypadków cieszył się, ale napróżno szukał tu tych, którzy go interesowali. Ani Corneliusa, ani Niny, ani Zima.

Dymitr przebrany za dżentelmena, genjalne zwierze, i literat, i grafolog, i fałszerz, i wywiadowca, i *sukinsyn* w jednej osobie dostawał co dzień piętnaście koron extra, by tu przychodził i słuchał. Ach, jak on słuchał!.. Lingwista — angielski, francuski, polski, niemiecki, duński. I co za słuch. Na nikogo nie zwraca uwagi, obserwuje chmury, uśmiecha się do wróbelków i słucha. Czego on się przez jeden wieczór nie nasłucha!... I syntetyk... Co za inteligentne wnioski!

A taki „padlec", że sam Konspirin go się boi. Ale nieoceniony. Czasem to i przez godzinę całą raportuje rano, co słyszał wczoraj wieczorem.

Zim był tak zapracowany że nie miał czasu tchu złapać. Praca w poselstwie, jak zwykle, ciągłe towarzyszenie ministrowi, bywanie u ludzi, dochodzenie sądowe z powodu wypadku, ostatnie przygotowania do odczytu, Nina...

U niej odpoczywał. Późnym wieczorem schodzili się na owoce: papa, Willy, Zim, Nina. Zgrywał się nowy kwartet życiowy. Nina z nadzwyczajną łatwością weszła w nową rolę córki i siostry.

Zima nazywała „cousin", żartem już teraz, Willy był coraz smutniejszy. Grążył się w studjach. Postanowił w odczycie swoim wytoczyć taką batalję złotu, by cielec runął, obnażając swoją bezduszność wobec wiecznej dynamiki pracy i praw człowieka do niej w walce z materją. Papa Cornelius odmłodniał i szalał. Robili plany na przyszłość, przewidując oczywistą konsekwencję: dymisję ze służby obydwu dyplomatów. Zbyt potężny jest przeciwnik. Zbyt wygodne dla wybranych są doktryny. Zbyt oszalały jest świat, zbyt okłamany tłum. Zbyt zbiedzona ludzkość, by nie oślepła olśniona błyskiem Prawdy, zbyt zadłużone w złocie państwa, by śmieć zerwać z szyi pętlę, dławiącą jej życie, i krzyknąć wielkim głosem — wolności!

Willy grywał teraz tylko nokturny i marsze żałobne. Kazimierz kochał go coraz więcej za jego ból, za jego anielską dobroć, za sublimację jego czystej duszy i szukał ciągle objektu, by mu go podsunąć.

Jedna robota więcej.

Integralnie szczęśliwym czuł się Jan baron Van Cornelius.

Właściwie — to i Nina.

Umówiła się kiedyś z Kazimierzem, że wstaną nazajutrz raniutko, o szóstej i pojadą na spacer do *Dyrehaven.*

Podjechał samochodem pod jej okna i dał czterokrotny sygnał z pięciosekundowemi przerwami.

Wyjrzała przez okno i skinęła ręką.

Wkrótce wybiegła.

W powietrzu umytem w nocy przez ulewny deszcz i przesianem promieniami ostrego słońca wyglądała jak gałązka bzu. Ubrana była w kostjum sportowy koloru lila. Uśmiechnięta, radosna.. Była tak czarująca, że Zim wyskoczył z samochodu i stanął olśniony, szukając słów, których zazwyczaj nigdy mu nie brakowało. Był w pysznym humorze.

— Bonjour, cousin, nie wyspałeś się, że masz taką minę —

— Jaką?..

— Nie wiem.

— Ty wiesz, kobieto, boś się przejrzała w lustrze, a ono ci powiedziało, że jesteś dziś dość piękna, by skazać mnie na dożywotnie męki.

Śmiała się głośno.

Mknęli po asfalcie.

— Dlaczego na męki?

— Bo jeżeli mi się dziś oświadczysz, to nie będę mógł odmówić, choć mógłbym, ale naraził bym się na słuszny zarzut, że mam zły gust....

— Mógłbyś?...

— O tak, i dlatego jestem smutny.

— Nic nie rozumiem.

Miał ochotę pożartować.

— Bo czuję, że idzie tragedja.

— Jaka tragedja?

— Że się z tobą będę musiał ożenić.

— Tak mówisz, jakbyś naprawdę musiał, a przecież nic takiego nie zaszło.

— Tegoby jeszcze brakowało!

— Więc?..

— Więc któż się z tobą ożeni, jeżeli nie ja! Przecież nie papa i nie twój brat przyrodni. Więc któż?...

— Jutro mogę mieć dziesięciu u moich stóp.

— Kiedy ty kochasz tylko mnie.

— Zdaje ci się.

— Może mnie nie kochasz, ale właśnie mnie chcesz zadręczyć.

Nina przysunęła się do Kazimierza bliziutko, chwyciła go pod ramię, przytuliła się.

I głosem najczulszym —

— Ja będę idealną żoną...

Ton głosu Zima zmienił się na ponuro.

— Nie, Nino, mylisz się, będziesz zwykłą żoną, będziesz w domu, dla mnie, inną niż dla gości, mniej przyjemną, wszyscy będą mi cię zazdrościli, bo nikt cię nie będzie znał tak jak ja, będziesz wołała pieniędzy, pieniędzy, gdy będę ginął z wysiłku pracy dla idei i dla kawałka chleba, potroisz mi mój obecny budżet, pomimo to że jesteś tylko—„puch marny", każesz mi iść na wizytę, gdy będę pracował, będziesz miała co dzień sto pretensji do mnie, że wszystko jest u nas nie tak, jak gdzieindziej, utracę z powodu ciebie najdroższy skarb — wolność, niezależność, utracę twórczą samotność, a jednak — a jednak — chcę cię, pragnę cię mieć przy sobie, słodką udrękę i — konieczność...

Ogarnął ją ramieniem.

Nina spoważniała, zbladła, miała łzy w oczach.

— Okropne rzeczy mi mówisz —

Zim spoważniał.

— Muszę cię też uprzedzić, że mnie zgniotą...

Nina odsunęła się, zwracając twarz przerażoną ku niemu.

— Zgniotą? Kto, za co?...

— I ci, od których jestem zależny, i inni. A za co?... Za prawdę, którą usłyszą ode mnie na odczycie, za to, że jej nie będą mogli obalić i za to, że ona obali ich rację bytu.

— A co ty im powiesz?...

— Powiem im, że kongres może się rozjechać przed obradami, bo do niczego nie doprowadzi. Że państwa współczesne żyją w anarchji, bo nie mają władzy kierowniczej, któraby wiedziała dokąd idzie. Że celem państwa jest uwolnić człowieka z jarzma trosk materjalnych i dać mu iść naprzód w stwarzaniu się duchowem. Że władza kierownicza musi nastawić na tę celowość całe życie państwa, wszystkie ustawy, zarządzenia. Że ludzkość może żyć szczęśliwa, jak Adam w Raju, jeżeli zrozumie prawa, które nią rządzą i wyzyska je na swoją korzyść. Że kierować państwem ma prawo tylko ten, kto potrafi opanować samego siebie, kto samorzutnie stwarza się coraz doskonalej, kto ma w sobie równowagę, kto umie kierować rozumem swoim, kto w hierarchji duchowej doszedł do szczytów...

— To ty, to ty — krzyknęła rozentuzjazmowana Nina, — ty powinieneś kierować światem, ty i Willy...

Zim spochmurniał.

— Zgniotą mnie i Willy'ego, za walkę, jaką wytaczamy złotu.

— Nie, nie, drogi mój, nie mów tak. To niemożliwe. Nie damy się. Musimy zwyciężyć.

— A jednak tak będzie. Musi tak być. Tylko ten, kto obniża poziom tłumu, robi karjerę życiową. Spekulanci żerujący na ogłupionym tłumie nie dopuszczą do ukazania mu prawdy. Chyba, chyba, że — „Cud nad Wisłą"...

Mokry park *Dyrehaven* potniał w rannem słońcu. Stada sarenek przebiegały z polanki na polankę, uciekając od samochodu. Paru jeźdźców galopowało. Otwierano podwoje kawiarni.

— Zjedzmy tu śniadanie, kochany...

Kazimierz kazał stanąć.

Przy kawie ze znakomitą świeżą śmietanką i apetycznemi kanapkami z szynką, serem i konfiturami Nina ochłonęła z przerażenia, jakiego doznała ze słów Zima. Nie wiedziała, czy Zim w wielkiej swojej uczciwości umyślnie malował przyszłość na czarno, by ją wypróbować i uprzedzić, — czy też trzeba mu wierzyć, że tak będzie.

Szukała innego tematu.

— Wiesz, drogi, że —

Raptem przerwała, patrząc mu prosto w oczy, jasno, ufnie, jak psiątko...

— Że... O, ale nie przypuszczaj, że ja to robię przez wyrachowanie, albo wogóle nieszczerze...

— Nie przypuszczam. Ale co?...

Nie szło jej jakoś przyznanie się.

Wreszcie wyjąkała.

— Przyznam ci się, że choć sama czuję się bardzo mocną... Co tu ukrywać... Ja chcę zostać katoliczką.

— Już nią jesteś.

— Tak, ale wielu rzeczy nie wiem, nie rozumiem. Co ty na to powiesz, gdybym tak poszła do nuncjusza, żeby mnie nauczył...

Zim się uśmiechnął.

— Widzisz ją, jaka wielkość! Nuncjusz będzie ją katechizmu uczył! Powiedz papie, on cię nauczy.

— Nie, ja chcę, żeby nuncjusz wszystko mi wytłumaczył. Bo wiem, że nikt mi nie rozwiąże moich wątpliwości, chyba ty, ale ty nie masz czasu na to.

Zim się obejrzał. W sali nie było nikogo, oprócz kota. Objął ją czule, pocałunek ich złączył.

Prokurator Peter Niels Abramsen miał twardy orzech do zgryzienia: — czem była katastrofa samochodowa?

Po zwęglone szczątki szofera nikt się nie zgłosił. W mieszkaniu Hansa nie znaleziono żadnych listów ani dokumentów, któreby coś mówiły. Musiał je mieć przy sobie. Spaliły się.

Poważną — jak na szofera — gotówkę w obcych walutach, znalezioną po różnych skrytkach w mieszkaniu nieboszczyka, wytłomaczyło zeznanie jednego z maklerów giełdowych, że Hans grał szczęśliwie na giełdzie. Zeznania Zima, Corneliusa i Niny nie rzuciły żadnego światła. Szofer był dobrym służbistą, sympatycznym, uprzejmym i najzupełniej uczciwym.

Czyżby był szaleńcem ryzyka, zamachowcem na czyichś usługach, fanatykiem jakiejś warjackiej idei!

Zamach na Zima czy na Willy'ego! Z jakich powodów? A może — na Ninę.

Czyżby!

Wizyta prokuratora u Konspirina rozwiązała chwilową hipotezę. Konspirin zapewnił prokuratora, że łączą go z Niną najmilsze wspomnienia. Gdy się okazało, że Nina jest więcej holenderką niż rosjanką — zwolnił ją z obywatelstwa — na jej słowo honoru, którego — o ile mu wiadomo — dotrzymuje. Pokazał prokuratorowi jej list.

Oficjalnie — sprawę umorzono, właściwie zawieszono z powodu niedostatecznych danych, braku powodu i braku oskarżonego.

Pani Johnson coprawda była innego zdania. Według jej wersji szofer kochał się w Ninie, oczywiście beznadziejnie, i w przystępie zazdrości o nią z powodu Zima... Nie. Z powodu Willy'ego... Nie, z powodu... Nie mogła się tylko zdecydować, z czyjego powodu. *(D. c. n.)*

NAJLEPSZE UBEZPIECZENIA

Jan Rok przyjechał z Ameryki. Powiodło mu się, ma zajęcie, pracuje ciężko, ale zarabia na przyzwoite utrzymanie. Opowiada znajomym na prawo i na lewo cuda, cudeńka w stylu amerykańskim, koloryzując przy tym od czasu do czasu.

— U nas business — mówi — to nie byle co. Pieniądz to nie tylko czas, to prawo. Słuchajcie: w Chicago wchodzi do sklepu zamożny kupiec, wybiera dla siebie duże pudełko z cygarami. Z tym sprawunkiem pędzi do towarzystwa ubezpieczeń i asekuruje swoje cygara od pożaru. Po tygodniu, gdy wypalił już wszystkie cygara, zgłasza się do towarzystwa ubezpieczeń i żąda wypłacenia mu polisy. Spotyka się oczywiście — z odmową. Wytacza więc towarzystwu proces, sąd zaś przyznaje mu słuszność i skazuje towarzystwo na wypłacenie kupcowi pełnej sumy polisy ubezpieczeniowej.

— Nie chciałbym być na miejscu amerykańskich towarzystw ubezpieczeniowych! — wtrąca przyjaciel Jana, pan K-icz.

— Czekaj, bratku, to jeszcze nie koniec! Cóż się nie dzieje? Po kilku dniach ów kupiec otrzymuje wezwanie do sądu na sprawę: towarzystwo ubezpieczeniowe skarży go o... złośliwe podpalenie rzeczy ubezpieczonej! Prawo jest prawem! Kupiec został skazany na dwa lata więzienia! No, jak się wam podoba?

— Wcale mi się nie podoba, jeżeli tylko to, co opowiadasz, nie jest przesądzone — odparł pan K-icz — żebyś wiedział — wcale mi to nie imponuje. Opowiem ci natomiast inną historję. Pamiętasz Władka S., tego poczciwego Władzia, któremu los płatał tyle złośliwych figlów?

— A jakże, przypominam sobie... Co się z nim dzieje?

— Ot co, klepał Władek biedę dość długo, aż zdobył się na odwagę. Kupił kiedyś pół losu na loterię państwową. Przepowiadano mu, że z jego pechem przegra na amen. On nic, zawziął się i gra. W pierwszej klasie — nic, w drugiej — nic, w trzeciej — to samo, aż tu bęc! — w czwartej wygrał chłop połówkę stu tysięcy!

— Czekaj-no, to jeszcze nie koniec. Założył sobie Władek za wygrane pieniądze biuro komisowe, pracował za trzech i dorobił się. Teraz rozszerzył interes i zatrudnia u siebie kilkanaście osób. A że bieda nauczyła go rozumu a wygrana wdzięczności, więc wszystkim swoim pracownikom daje do każdej klasy na kupno ćwiartki losu loteryjnego. „To jest — powiada za każdym razem — najlepsze ubezpieczenie na życie. Kto nie wygra dziś, ten może wygrać jutro".

ŚWIAT TEATRU



E. Kryńska i J. Łuszczewski.

„Ludzie na krze“ Komedia w 3-ch aktach Wilhelma Wernera, przekład M. Szyjkowskiego, reżyseria Stanisławy Perzanowskiej, dekoracje Władysława Daszewskiego.

Epoka współczesna stanowi ciekawy moment dziejowy, interesujący zarówno historyka jak i badacza obyczajów i życia społecznego i rodzinnego. Od czasu Wielkiej Rewolucji nigdy w tak oszałamiającym tempie nie zmieniły się zainteresowania i warunki bytu jednostki, rodziny i społeczeństwa, jak w pierwszych trzydziestu latach bieżącego stulecia. Od przedwojennych „dobrych czasów“ trwałych zasad moralnych i burżuazyjnego dobrobytu oddziela nas krwawa granica, linja demarkacyjna Wielkiej Wojny. Czteroletnie zezwierzęcenie, brutalne wyrwanie milionów ludzi z ich normalnego życia wywołało całkowity rozdźwięk, głęboką przepaść dzielącą pokolenie przedwojenne od dzieci lat wojny.

Interesująca sztuka W. Wernera daje nam ciekawy przekrój dzisiejszej rzeczywistości, widziany na wąskim odcinku rodziny, uwydatnia w sposób plastyczny ów rozdźwięk, panujący między rodzicami i dziećmi, spotęgowany szaleńczym tempem dnia dzisiejszego, pogłębiony tragiczną wizją walki o prawo do życia, o chleb, o pracę.

W trzech aktach swej ciekawej sztuki przeprowadza Werner ponurą ideę bankructwa dawnych dobrych zasad, przedwojennej moralności, starych praw społecznych, bankructwa na rzecz oportunizmu młodzieży, załamanie linji rozwoju jednostki, spaczenia charakteru wywołanych życiem z dnia na dzień i walką o szczęście dnia dzisiejszego. Ale czyż bankructwo? Czyż tragiczne, szare w swej bezideowości i bezcelowości życie dzisiejsze zwycięża? Czyż trzeci akt sztuki, w którym wesołość komedji stara się zagłuszyć ponury dramat dwóch aktów poprzednich jest rzeczywiście konsekwentnym posunięciem dramatycznym? Czyż nie jest on dowodem pewnego oportunizmu życiowego autora, który tradycyjnym happy end'em stara się zjednać i... zabawić ową powojenną publiczność, żyjącą jedynie chęcią użycia i zapomnienia o codziennych troskach?

W swym reportażu dzisiejszości sięgnął Werner w różne dziedziny życia społecznego. Przedstawił tragizm prostolinijnego bezwzględnie uczciwego i prawego ojca, zamęczającego się na nędznej finansowo posadzie nauczyciela gimnazjalnego, aby zapewnić kawałek chleba wykolejonym beznadziejną walką o pracę i zarobek dzieciom; uwypuklił ponurą, szarpiącą nerwy i zdrowie, narażającą na ciągłe szaleńcze pokusy dolę bezrobotnej młodzieży; usprawiedliwił załamanie moralne młodocianych wykolejeńców; w migawkowych skrótach ukazał nienormalności i bolączki dnia dzisiejszego.

Nie brak w tym ciemnym obrazie teraźniejszości plam jaśniejszych. Ze złośliwością satyryka i wnikliwością reportera chłoszcze Werner stosunki i stosuneczki panujące w sporcie i produkcji kinematograficznej. Zdziera z nich zasłonę, pokazuje młodego footbalistę i jego otoczenie, takim, jakim jest, odsłania kulisy „pracy“ „przemysłowców“ filmowych w wesołych scenach daje jednak odczuć kroplę goryczy.

Mistrzowska reżyseria Perzanowskiej wydobyła ze sztuki maximum walorów scenicznych i życiowych, wytknęła niezawodną linję aktorom, umiejętnie zaakcentowała momenty najistotniejsze. Znakomita gra zespołu ze świetnym Jaraczem na czele wyniosła widowisko na wyżyny prawdziwej sztuki. Szkoła Jaracza na dobre wyszła młodym ar-



E. Bonacka i A. Bogucki.



Janina Biesiadecka i Wojciech Wojtecki w komedii „Zamieszaj".

tystom Ateneum. Daniłowicz wydobył z postaci bezrobotnego inżyniera Janka głęboki tragizm przymusowego lenistwa i wywołanej nim beznadziejnej apatji. Bonacka miała chłód i przyrodniczy scepcytyzm młodego lekarza wraz z głębokim zrozumieniem jego roli społecznej. Narwany smarkacz - sportowiec Pośpiełowskiego wnosił zabarwienie komedjowe. Kryńska doskonale pasowała do swej roli młodej adeptki filmowej, a reżyser jej Łuszczewski — dał dobrze wystudiowaną sylwetkę „człowieka z branży". Nad egoistyczno - oportunistycznymi poczynaniami młodzieży wnosił się groźny w swej apodyktyczności cień ojca (Jaracz), który głębią zrozumienia artystycznego, rutyną aktorską i cudowną prawdziwością przeżycia potrafił połączyć w misterny stop głęboką miłość ojcowską, tragizm niepotrzebnego człowieka i gorycz osamotnienia. Rola matki w wykonaniu Perzanowskiej miała ciepło matczynego serca, plotkarstwo kumoszki i zahukanie typowej „kury domestici".

„Zamieszaj", komedia w 3-ch aktach A. de Herz'a, przekład z rumuńskiego Malwiny Pradziejowskiej, reżyseria Zbyszko Sawan, dekoracje Stanisław Kurman.

Po przeszło dwuletnich nieprzerwanych występach pani Malicka opuściła swój teatr, aby zażyć dobrze zasłużonego odpoczynku. Odpoczynek ten, sądząc po znakomitej zabawie publiczności na przedstawieniach „Zamieszaja", będzie prawdopodobnie dość długi. Te pierwsze pięćdziesiąt parę przedstawień przy wyprzedanej widowni wróżą lekkiej komedii Herza powodzenie nie mniejsze, niż programom poprzednim, osiągającym rekordowe cyfry wystawień.

A. de Herz, wyszedłszy z banalnego tematu kłótni i zdrady małżeńskiej, stworzył odbiegającą od szablonu zabawną historię z nieprawdziwego zdarzenia. Ucieleśnione kłamstwo wiarołomnego małżonka wkrada się do jego domu, wciska się do jego najintymniejszych przeżyć, wywołując sytuacje nieprzewidziane w swym komizmie. Trudno szukać w tym kołowrocie wydarzeń, na rozpędzonej karuzeli nieporozumień jakiejś głębokiej myśli przewodniej. A. de Herz, lawirując między farsą a komedią rozśmiesza publiczność do łez swemi kapitalnemi nieraz pomysłami. Świetne poczucie humoru, komizmu sytuacyj i znakomita znajomość sceny pozwala Herz'owi przeprowadzić swą humoreskę w sposób mistrzowski. Wesołe sytuacje zmieniają się jak w kalejdoskopie, utrzymując widownię, w stanie najwyższego napięcia humoru, dowcipne powiedzonka, często zawierające głęboko przemyślane, trafne paradoksy i aforyzmy krzyżują się walcząc o lepsze ze świetnie skreślonymi sylwetkami scenicznymi.

Sztukę Herz'a wyreżyserował w sposób żywy Zbyszko Sawan. Odpowiednie tempo, porywające rozmachem i brawurą, podnosi wesoły nastrój zabawy. Pomysłowość reżyserii umiejętnie uwypukla walory komiczne sztuki, utrzymując ją we właściwym miejscu między komedią a farsą. Efektowne wnętrze sceniczne Kurmana trafnym rozplanowaniem, artystycznym polotem i świetnym stonowaniem urozmaica akcję i mimo jedności miejsca nie nuży jednostajnością.

Grano komedię Herza bardzo dobrze. Nikt nie był zanadto serio, wszyscy umiejętną szarżą podtrzymywali farsowaty nastrój zabawy.

Sceniczne małżeństwo zagrali państwo Biesiadeccy szczęśliwie utrzymując umiar, naturalność i wdzięk. Przy świetnym wyczuciu sceny byli oni żywi i zabawni. Wojtecki dał swemu Zamieszajowi komiczną nieporadność, grał żywo i naturalnie, tuszując rolę dyskretnym humorem, a okraszając swe uwodzicielstwo farsowym komizmem. Ina Benita w roli rozkosznej kokotki miała akcenty szczerości. Poruszała się z wdziękiem a jej spryt i szczerość budziły niemilknący śmiech widowni. Sędziego śledczego, irytującego wścibskiego maniaka umiejętnie przeprowadził Halecki, szarżując z umiarem i humorem. Świetną sylwetkę starego ramola dał Ziembiński, fertyczną pokojówką była Stachowiczowa.

Zastępca.



Ina Benita, W. Wojtecki, Z. Biesiadecki, H. Modrzewski i W. Ziembiński w komedii „Zamieszaj"



Mary Didur i Jerzy Olgierd w operetce „Taniec szczęścia".

„Taniec szczęścia", operetka w 3-ch aktach Stolza, wersja polska W. Łokazy, reżyserja W. Zdzitowiecki.

Kryzys Opery Warszawskiej wywołał paradoksalną sytuację powstania dwóch teatrów operetkowych, opierających swą egzystencję na osobach dwóch śpiewaczek operowych. Panie Wermińska i Szczepańska, główne vedette'y obu operetek, potrafiły zjednać sobie zarówno dawnych bywalców operetek przedwojennych, jak i młody „narybek" publiczności. Widowiska operetkowe cieszą się dużem powodzeniem, co stanowi bodziec do dalszego doboru repertuaru, kompletowania coraz lepszego artystycznie zespołu i konsekwentnego „oszlifowania" młodej generacji aktorskiej, garnącej się do przybytku lekkiej muzy.

Melodyjna operetka Stolza „Taniec szczęścia", wystawiona starannie na niewielkiej scenie teatru „8.15" wśród barwnych, skromnych, przystosowanych do wymiarów sceny dekoracyj Jewniewiczowej i Wiecheckiego, stanowi widowisko niezaprzeczenie udane. Żywa, obfitująca w zabawne nieporozumienia akcja rozwija się w znakomitym żywiołowym tempie, przynosząc coraz to nowe sytuacje, trafnie podkreślone odpowiednią ilustracją muzyczną. P. Alfred Schütz, kierownik muzyczny i kapelmistrz zwycięsko borykał się z przeszkodami mało akustycznej sali, prowadząc swą skromną liczebnie orkiestrę w świetnym tempie, ciekawie wiążąc melodie Stolza z licznymi wkładkami muzycznymi własnej kompozycji.

Wersja polska p. W. Łokazy'ego nie wykracza ponad poprawną przeciętność, co jednak stanowi nieosiągalny poziom dla twórców tekstów piosenek. Słowa Z. Friedwalda do miłego, melodyjnego tanga Schütza „Noc w Barcelonie" i posuwistego walca rażą słabą znajomością języka polskiego i całkowitym brakiem polotu poetyckiego. Teksty pozostałych piosenek anonimowego Wuzet'a stanowią rozpaczliwe borykanie się pseudopoety z rytmem, rymem i gramatyką. Wśród tych nieudanych „wyczynów" prawdziwym wyjątkiem są świetne słowa Kory Jaroszowej do tanga Mierzejewskiego: „Niebieskie róże" i ciekawy tekst Schütza do własnego passodoble „Nie wierz w miłość korsykanki".

Z wykonawców tej żywej operetki na pierwszy plan wysuwa się znakomita głosowo p. Lucyna Szczepańska, której srebrzysty sopran nadaje miłym melodiom czarującą lekkość i świeżość. Mary Didur Zaleska włożyła w rolę ognistej meksykanki dużo wdzięku i naturalności, a świetny głos i inteligentna interpretacja piosenek zmuszały do parokrotnego bisowania. Panie Czerska i Łańska pokazały szereg ładnych toalet, wniosły dużo dobrych chęci i życia, ale ich dalsza kariera artystyczna wymaga jeszcze dużo pracy i starania. Świetna para komików p.p. Gierasieński i Woliński wywoływali wybuchy śmiechu i entuzjastyczne oklaski. Reprezentowali oni humor w dobrym gatunku i ożywiali miejscami martwe libretto znakomitą grą i świetnym wyczuciem komizmu.

Dodatnio wyróżnił się z męskiej części zespołu p. Zbigniew Rakowiecki. Młody ten aktor świetnie czuje scenę, posiada duże możliwości i masę wdzięku. Jego gra odznaczała się ogromną naturalnością i bezpośredniością. Swym niezaprzeczonym humorem, dużym umiarem i kulturalną grą zjednał sobie całą publiczność entuzjastycznie go oklaskującą. Wrodzona muzykalność i poczucie rytmu pozwoliły p. Rakowieckiemu zwycięsko wybrnąć z partji wokalnych, których wykonanie mimo małej rozpiętości skali głosowej stało na poziomie zadowalającym.

Dużym natomiast nieporozumieniem jest występ na deskach scenicznych p. Olgierda. Tytuł króla mody i nienaganne noszenie fraka nie wystarczają do miana artysty. Aktorem p. Olgierd nie jest i nie będzie. Dostojne ruchy manekina, zmanierowana dykcja, przesada i sztuczność rażą i odpychają.

Zdolności śpiewaczych nie może zastąpić zapatrzenie w siebie, a brak muzykalności i — głównie — samokrytycyzmu stwarza sytuacje przykre. „Śpiewu" p. Olgierda nie podobna słuchać spokojnie.

Taniec reprezentowali utalentowany p. Rakowiecki, niedotrenowany balet i p. Bukińska, która odtańczyła bez wyczucia melodii trzy tańce: „Passo-doble", „Serenadę" i „Walca", różniące się od siebie tylko tempem i muzyką.

Reszta zespołu dołożyła starań, aby miła operetka podana była publiczności w jak najlepszej oprawie i wykonaniu. **J.**

Znakomita śpiewaczka polska Ewa Bandrowska-Turska na występach w Operze Warszawskiej

Po swych tryumfach w Ameryce, w Rosji Sowieckiej, a ostatnio w Szwecji, Finlandji i t. d. najznakomitsza polska śpiewaczka o światowym rozgłosie Ewa Bandrowska - Turska wystąpi obecnie po paroletniej przerwie na scenie Opery Warszawskiej.

Występy Ewy Bandrowskiej odbędą się w dwóch serjach: między 21-ym a 28-ym lutego i od 20 marca.

Dnia 21 i 23 lutego wielka śpiewaczka ukaże się w swej nieporównanej partji „Traviaty" dnia 23 lutego — w popisowej kreacji „Łucji z Lamermooru", którą powtórzy 28 lutego, wreszcie 26 lutego w „Cyruliku Sewilskim" jako Rozyna.

Następnie artystka wyjeżdża na parotygodniową gościnę do Opery Królewskiej w Bukareszcie. Po powrocie zaś do kraju kreować będzie w Warszawie swą słynną z sukcesów w Poznaniu (gdzie śpiewała ją kilkadziesiąt razy) „Blanchefleur" Kienzla i jedną z największych atrakcyj Wiednia. Premjera „Blanchefleur", której treść osnuta jest na jednej z nowel Hofmana, odbędzie się w Operze Warszawskiej pod koniec marca.

CZY PANI WIE, ŻE...

...stare renesansowe meble z ciemnego orzecha lub dębu powinny być starannie utrzymywane. Jeżeli nabyła pani taki mebel w stanie zniszczonym, a zwłaszcza jeśli są na nim plamy od wilgoci — trzeba przedewszystkiem wilgotnem płótnem pocierać długo plamy, aż znikną. Gdyby nie schodziły od samej wody — zmyć je wodą z mydłem, spłukać gąbką, wytrzeć do sucha. Poczem przystępujemy do nadania powierzchni mebla należytego połysku.

W kawałek wełnianej flaneli owinąć tampon z waty. Przygotować mieszaninę oleju lnianego i terpentyny francuskiej, pół na pół. Tampon zwilżać w tym płynie i mocno nacierać nim powierzchnię mebla. Gdy cała powierzchnia będzie równomiernie natarta, „zaciągnąć" ją dla otrzymania połysku dobrą bezbarwną pastą do podłogi. Dać wyschnąć, poczem „wyfroterować" miękką szczotką, a wykończyć wełnianym gałganem.

■

...prawdziwie wytworna pani dba o to, aby w jej mieszkaniu szyby i lustra lśniły blaskiem kryształu, klamki i metale miały połysk nieskażitelny, a marmury — gładkość idealną. I wytworna pani osiąga bardzo łatwo to doskonałe wykończenie swego „home" — używając stale w tym celu niezawodnego MYTOLU firmy DOBROLIN.

■

...amoniak jest niezmiernie pożyteczny. Oto parę jego zastosowań w gospodarstwie domowem.

Wszelkie przedmioty mosiężne, jak klamki, lichtarze, etc. najlepiej czyścić gałgankiem, umoczonym w amonjaku. Nabierają pięknego połysku.

Dywany odzyskują świeżość barwy, gdy po dokładnem oczyszczeniu z kurzu i wytrzepaniu, wyczyścimy je następnie miotełką, umoczoną w wodzie z małą ilością amonjaku.

Do mycia okien amonjak jest niezastąpiony. Wziąć równą ilość denaturatu i amonjaku, rozrobić w tym płynie kredy tyle, żeby powstało jakby wolne ciasto i tą pastą nacierać szyby. Po chwili suchą ściereczką wycierać do czysta — i „do glansu".

Tłuste plamy na wełnianych ciemnych materjałach schodzą, gdy je pokryjemy kawałkiem bibuły, umoczonej w roztworze amonjaku z wodą i wyprasujemy gorącem żelazkiem.

Kołdry flanelowe i wełniane najlepiej prać w ten sposób: zanurzyć w kuble ciepłej wody, do której dodano łyżkę amonjaku i mydliku. Namoczyć tak parę godzin. Piorą się potem świetnie, bez trudu, i nie kurczą.

■

...moda staje się coraz bardziej wymagająca, jeżeli idzie o precyzyjne harmonizowanie szczegółów, wykańczających nasz strój. Już nie można, jak przed laty, nosić tego samego kapelusza do wielu sukien, ani tych samych bucików do różnych płaszczy. To wie każda z nas. Szkopuł przy stosowaniu się do wymagań mody polega w Warszawie na tem, że niezmiernie jest trudno dobrać np. identyczne buciki, torebkę i pasek, albo rękawiczki, szalik i torebkę. Kompletowanie tych rzeczy trwa długo, jest mozolne — i nigdy nie daje rezultatów idealnych.

W Paryżu są specjaliści, którzy tworzą gotowy taki „komplet". Np. Edith, znany dom modelowy w dziale obuwia — ostatnio do wszystkich wiosennych modeli bucików tworzy odrazu z tej samej skóry i z temi samemi motywami ozdobnemi — torebkę, pasek i rękawiczki. Cóż za oszczędność czasu, i jakie ułatwienie dla każdej kobiety, która chce być naprawdę wytwornie ubrana...

■

...O przepis na konfiturę z pomarańcz prosi jedna z czytelniczek. Wziąć cztery pomarańcze, dwie cytryny, półtora litra wody, kilo i ćwierć cukru kryształu. Pokrajać bardzo drobno owoce, nie obierając ich ze skórki, tylko odrzucając pestki. Zalać wodą, moczyć przez 12 godzin. Poczem wrzucić cukier, i na wolnym ogniu smażyć przez godzinę i trzy kwadranse.

Dama Pikowa.

SALONY „GRACJA"



ZAKŁAD KOSMETYCZNO-FRYZJERSKI
Wilcza 35, róg Marszałkowskiej

Najwspanialszy zakład kosmetyczno-fryzjerski **„Gracja"** (dawniej Bagnowski) przeszedł niedawno w posiadanie nowego właściciela. Gruntownie odnowiony i zaopatrzony we wszystkie nowości techniczne, prowadzony jest obecnie przez zdolną kierowniczkę Mistrzynię Piękna, znaną pod pseudonimem **Pani Zoja.**

W ubiegłym tygodniu w Salonach Gracja odbyła się Rewja—Pokaz p. t.: **„Piękno w Harmonii"**, w którym **Pani Zoja** przedstawiła tłumnie zebranym gościom metodę i kierunek pracy nad — pięknym wyglądem nowoczesnej kobiety.

Piękno w harmonii: w uczesaniu, ubraniu upiększaniu się — zastosowane do jednostki.

Pokaz-Rewja w Salonach *Gracja* urozmaicony był demonstracją toalet firmy Kl. Kozłowska, futer f. Szoll'a oraz gustownym kompletem sprzętu sportowo-narciarskiego f. Stefański (dawniej Komispol) Jasna 12.

Wszystkie działy zakładu **„Gracja"**: gimnastyka, racjonalna pielęgnacja, czesanie, wieczna ondulacja, manicure, pedicure, stojące na najwyższym poziomie są do dyspozycji zarówno pań, jak i panów.

Komfortowy ten zakład ma zaletę godną uwagi — niskie ceny!

TADEUSZ WITTLIN.

CZŁOWIEK BEZ PRZESĄDÓW

— Ależ zapewniam cię, drogi przyjacielu, że nietylko ja, lecz i ludzie poważni, mądrzy i wykształceni, są zabobonni i wierzą w gusła, — perswadowałem Dezyderemu, który w milczeniu piorunował mnie spojrzeniem.

— Wiem doskonale, że to niemądre— tłumaczyłem się przed nim w dalszym ciągu — ale cóż, kiedy mimowoli ulegam i wróżę sobie z tych, czy innych znaków.

— Wszystko głupstwa! — syknął Dezydery. — Przykro mi tylko, że ty, człowiek dwudziestego wieku...

By ułagodzić druha, pociągnąłem go w stronę najbliższej knajpki.

— Zrozum, że przecież zawsze są jakieś znaki na niebie i na ziemi — mówiłem, gdy otoczyła nas rozkoszna woń zjełczałego bigosu. — Jakieś gusła i uroki, które zmieniają losy człowieka i krzyżują plany. Czy nie wierzysz w upiory?

— Nie, — odparł Dezydery krótko.

— A w duchy?

— W duchy też nie, już prędzej w zaduchy, — odpowiedział ironicznie.

— A w djabły, czarownice, wilkołaki i żelazne wilki?

— Zdaje się, że zwarjowałeś, — powiedział spokojnie dłubiąc wykałaczką w zębach.

— A w czary?

Wzruszył ramionami.

— A ja byłem świadkiem czarów, acha! — zawołałem z triumfem.

— Cooo takiego?!

— Słuchaj! Miałem szkolnego kolegę: Barnabę. Do niedawna Barnaba był ubogim pętaczyną i często pożyczał ode mnie różne sumki na wieczne nieoddanie. Ostatnio jednak udało mu się i został nawet naczelnikiem jakiegoś urzędu. Ciesząc się powodzeniem dawnego przyjaciela, poszedłem, by mu pogratulować. Melduję się przez woźnego, a Barnaba myśląc, że przychodzę po protekcję, każe powiedzieć, że jest zajęty i przyjmie mnie dopiero nazajutrz. Gdy, nie orjentując się narazie w czem rzecz, zjawiłem się na drugi dzień i wszedłem do gabinetu Barnaby, patrzę, a za biurkiem pana naczelnika siedzi świnia. No i powiedz, czy to nie czary?

— Nie, — zaprzeczył Dezydery. — To tylko ty jesteś przewrażliwiony facet.

— Więc nie uwierzyłeś w czary?

— Nie.

— A czy i teraz nie uwierzysz, jak ci powiem, że na własne oczy widziałem jegomościa, który przychodząc po zagraniczny paszport, był świetnie ogolony, młody i rześki, a wychodząc z żądanym dowodem, miał długą, siwą brodę i zgarbione plecy?

— Też nie widzę w tem nic niezwykłego. To tylko zwykły tryb urzędowania.

— Jesteś straszny sceptyk, cynik i niedowiarek. Zrozum jednak, że i ludzie starsi, prezydenci, profesorowie wodzowie, pisarze, artyści, wynalazcy, czy sportowcy, mają swoje maskoty.

— I cóż z tego? — przerwał mi Dezydery. — Chcesz przez to powiedzieć, że te wszystkie brednie, pomimo swej bezsensowności, nie przynoszą im ujmy? Bóg z nimi, ale sami sobie djablo utrudniają życie! Bo pomyśl tylko: masz coś ważnego do załatwienia, albo umówiłeś się z piękną kobietą. Nie idziesz jednak, ponieważ jest feralny piątek. I rzeczywiście: dama czeka, obra

ża się i wówczas piątek istotnie jest dla ciebie ponury. Zapomniałeś zegarka, nie wracasz się jednak po niego, ponieważ wracać się nie wolno. W rezultacie spóźniasz się do biura i szef wyrzuca cię z posady na zbity kotlet. Tłuczesz w lokalu lustro — siedem lat nieszczęść. Atoli pierwsze nieszczęście, to obowiązek wynagrodzenia szkody. Spotykasz na ulicy popa, chwytasz się za guzik tak silnie, że wydzierasz go z palta razem z materjałem. Ech, wybacz mój drogi! — żachnął się Dezydery i machnąwszy ręką, wybiegł szybko z restauracji.

— Widocznie obraził się na mnie — pomyślałem. — A no, trudno.

Zawezwałem kelnera, by uregulować rachunek, gdy po chwili przyjaciel mój powrócił.

— Sądziłem, że nie chcesz więcej rozmawiać z takim durniem, jak ja — powiedziałem nisko opuszczając głowę.

— Nie — wyjaśnił Dezydery. — Tylko już wieczór zapadł i księżyc się pokazał. Księżyc w pełni, rozumiesz więc musiałem wybiec i spojrzeć na niego prawem okiem, bo jak spoglądam lewem, to później przez cały miesiąc nic mi się nie udaje.

JO VAN AMMERS-KÜLLER
W WARSZAWIE

Wybierając się na odczyt słynnej powieściopisarki holenderskiej Jo van Ammers-Küller zorganizowany przez Stowarzyszenie kobiet z wyższym wykształceniem, spodziewaliśmy się ujrzeć postać podobną do kobiet z rodu Cornveltów. — Czytelnik pod wpływem silnie tendencyjnych powieści skłonny jest wyobrazić sobie autorów na obraz jego bohaterów. Byliśmy więc przygotowani na spotkanie z zacną „ciocią doktór" albo z niestrudzoną feministką Dorotą. Czekała nas niespodzianka. Wysoka, strojna pani na estradzie niczem nie przypominała tych szanownym dam. Ammers-Küller jest kobietą nawskroś nowoczesną, pełną świeżości i wdzięku. Jest młoda i bardzo przystojna. Nie, to stanowczo nie Miebetje ani nie Dorota, to może Puck, dzielna, rozważna, energiczna Puck z „Jabłka i Ewy". Tak samo pełna jest zdrowia, równowagi i pogody. Toaleta wieczorowa z kremowego atłasu (czy nie suknia Puck z firmy Patinelli?) trochę dziwna na tle sali zapełnionej naszą skromną publicznością, złożoną przeważnie z pracujących kobiet. Głos głęboki, sympatyczny. W wybornej niemczyźnie tylko obce l zdradza holenderkę.

Zanim przedostały się do nas książki Ammers-Küller niewiele wiedzieliśmy o Holandji. Znaliśmy Rembrandta i holenderską szkołę malarską, zachwycaliśmy się holenderską porcelaną i koronkami. Ale o życiu dzisiejszej Holandji mieliśmy bardzo słabe pojęcie. Dopiero książki Ammers-Küller spopularyzowały u nas holenderski dom i holenderską rodzinę. Autorka chciała w swej trylogji dać przedewszystkiem epopeję walki o prawa kobiet, mimochodem jednak stworzyła dzieło nawskroś narodowe.

W odczycie swoim zatytułowanym „Holandja, jej ziemia, ludzie i książki" uzupełniła obraz swej ojczyzny ukazany w powieściach. Plastycznie odmalowała krajobraz holenderski z jego surowym wilgotnym i wietrznym klimatem. Scharakteryzowała naturę silnego typu ludzkiego, urobionego w zmaganiu z ciężkiemi warunkami przyrody. Życie w Holandji nie wygląda wesoło. Społeczeństwo przeniknięte kalwinizmem wciąż jeszcze uważa wszelką radość życia za grzech. Nie subsydjuje teatru. Obywa się prawie bez literatury. Z humorem i nie bez wdzięku powiedziała p. Ammers-Küller kilka odważnych złośliwości pod adresem swych rodaków. Poskarżyła się zręcznie na ministra sztuki, który nie uważał za właściwe w ciągu całego swego urzędowania choć raz być w teatrze. Użalała się na słabe czytelnictwo, ponieważ jej książka mogła w Holandji pojawić się tylko w 25.000 egzemplarzy, gdy w Niemczech doczekała się ćwierćmiljonowego nakładu. Polski czytelnik wiedzący coś niecoś o nakładach naszych książek trochę się w tem miejscu rumienił. I mimo krytyki autorki poczuł jeszcze większy szacunek dla małej Holandji i jej kultury.

Mówiąc o swych pracach literackich p. Ammers-Küller zapowiedziała ukazanie się swej nowej powieści historycznej osnutej na tle epoki Napoleona w Holandji. Wydaje się tem samem, że p. Ammers-Küller wyjdzie w tej pracy poza sferę zagadnień feministycznych, jakim dotychczasowa twórczość jej całkowicie była poświęcona.

S. B.

BOLESŁAW PRUS.

FRAGMENT Z „LALKI"

Obok niego stał jakiś człowiek w wypłowiałej kapocie, z rudawym zarostem... Wokulski przypatrzył mu się uważniej.

— Wysocki?... — rzekł. — Co ty tu robisz?

— To mieszkamy w tym domu — odpowiedział człowiek, wskazując na niską lepiankę.

— Cóż robisz?

— A ot tak — razem nic. Kobieta niby trochę pierze, ale takim, co nie bardzo mają czym płacić, a ja — ot tak... Marniejemy panie... nie pierwsi i nie ostatni. Jeszcze póki wielkiego postu, to człowiek krzepi się, mówiący: dzisiaj pościsz za dusze zmarłych, jutro na pamiątkę, że Chrystus Pan nic nie jadł, pojutrze na intencję, ażeby Bóg złe odmienił. Zaś po świętach nie będzie nawet sposobu i dzieciom wytłomaczyć, na jaką intencję nie jedzą...

Wokulski zamyślił się.

— Komorne wasze zapłacone? — spytał.

— Nawet nie ma, panie, co płacić, bo nas i tak wypędzą.

Wokulski wydobył portmonetkę.

— Masz tu — rzekł — dziesięć rubli na święta. Jutro w południe przyjdziesz do sklepu i dostaniesz kartkę na Pragę. Tam u handlarza wybierzesz sobie konia, a po świętach przyjeżdżaj do roboty. U mnie zarobisz ze trzy ruble na dzień, więc dług spłacisz łatwo. Zresztą, dasz sobie radę.

Ubogi człowiek, dotknąwszy pieniędzy, zaczął się trząść. Uważnie słuchał Wokulskiego, a łzy spływały mu po wychudzonej twarzy.

— Bóg... niech Bóg...

Ale Wokulski już nie słuchał, szedł w stronę Wisły, myśląc:

Jak łatwo ich uszczęśliwić!... Nawet moim skromnym majątkiem mógłbym wydźwignąć parę tysięcy rodzin. Nieprawdopodobne, a przecież tak jest.

(wypisał *Jerzy Hulewicz*).

MALWINA SZCZEPKOWSKA

KOBIETA W AUCIE

Z za rogu ulicy wytrysnął ciemno-zielony samochód i z cichym szelestem opon po wilgotnym asfalcie spłynął wzdłuż jezdni. Metalowe części wozu lśniły w słońcu jak srebro. Dwie małe dłonie kobiece, obciągnięte białą rękawiczek, połyskiwały nonszolancko na kierownicy.

Przez napojoną światłem taflę szyby patrzyły jej nieruchome źrenice wpół przymknięte pod wachlarzami długich, ciężkich od tuszu rzęs...

Pęd powietrza burzył i rozwiewał jej włosy, wypływające z pod rezedowego listka czapeczki i czynił z nich jasną migotliwą aureolę nad czołem białem, zimnem, doskonale klasycznem.

Jechała wolno przez wypełnioną słońcem ulicę. Idący chodnikiem odwracali głowy i spojrzenia ludzkie płynęły smugą za ciemno-zielonym cicho sunącym autem. Czuła na sobie spojrzenia wielu oczu i przyjmowała je z przychylną obojętnością, jak łaskotliwe muskania wiatru, kładące się na purpurze wzgardliwych ust.

Nad jakimś murem, daleko ku jezdni wybiegały gałęzie kasztanów, tryumfujące świeżą, nagle rozkwitłą zielenią. Mocny, gorzki zapach rozwijających się pąków, ciepła, wilgotna woń poruszonej ziemi wdarły się do jej nozdrzy po przez zaduch benzyny i francuskich perfum. I z tym mocnym zapachem wtargnęła do jej wnętrza nagła, nieodparta świadomość, opanowała jej myśli i wydarła się z ust w niespodziewanym okrzyku: Wiosna...!

Przemyślała tyle spraw dziwnych, niepokojących, zagmatwanych; zagłębiała się tylekroć w plątaniny psychologocznych powikłań...

Przesunęła się wśród tylu zdarzeń skomplikowanych i niezwykłych i nie miała czasu myśleć o rzeczach aż tak prostych...

I wtedy pochylona nad kierownicą spostrzegła bronzową smukłą sylwetkę dziewczyny idącej chodnikiem. Mignęła jej blada, bezrysowa twarzyczka. Obejrzała się raz i drugi...

Dziewczyna szła lekko, nie śpiesząc się, jak ktoś spragniony powietrza i odpoczynku po nużącej pracy. Szła, a było w niej jeszcze coś, co zwolniło bieg ciemno-zielonej maszyny.

...może nieśmiały, pokorny wdzięk młodości, falującej w jej ramionach.

...może jakiś czuciowy prąd, w którym było coś z owego cierpkiego zapachu młodych, rozwijających się pędów.

Ma dwadzieścia parę lat — myślała kobieta w aucie — i za chwilę spotka się ze swoim chłopcem, może dopiero ze swoim pierwszym chłopcem..... będą szli obok siebie zażenowani i tak komicznie niezgrabni,

....a może wezmą się pod rękę.... Będą patrzeć sobie w oczy i mówić te wszystkie przebanalne niedorzeczności zakochaynch, takie znane, takie stare, takie jednakowe, a takie nowe, nieoczekiwane, cudowne jak nabrzmiałe młodą zielenią liście kasztanów...

O czym myślisz, piękna Pani? Żałujesz.... Żałujesz? Czego żałować możesz ty, co tak łatwo prowadzisz swoje auto przez najtrudniejsze wiraże życia.... Ile masz lat, piękna pani? Czy, gdy idziesz, faluje w twoich ruchach taka niekłamana młodość tamtej.....? Żałujesz?... Nie!... Jeszcze jedna z tych, które czekają na ziszczenie marzeń.... Wiosna!.... Ty już wiesz, jak wyglądają ziszczone marzenia, ty już wszystko wiesz, piękna pani... Głupstwo!... i dlatego tylko, że ziemia pachnie tak mocno, jak flakon perfum rozlany na dywanie....

Obejrzała się. Bronzowa postać idącej rozpłynęła się już w oddaleniu. Coś pachnie mocno, odurzająco, powieki są coraz cięższe, ręce coraz bardziej bezwładne, krew pulsuje w skroniach.... jak wtedy, jak wtedy... kryształowy flakon rozbity o krawędź marmurowej konsoli.... Szkoda! Ciemna plama wilgoci na jasnym dywanie i ta woń mocna, cierpkawa, wwiercająca się do mózgu.... Czyjeś usta tak blisko jej ust....

Zacisnęła ręce na kierownicy, smukłe auto poderwało się do pędu i pomknęło z rozdzierającym łkaniem syreny.

— Już nic, już nic.... spokój!

Głupstwo, wszystko głupstwo.... Cóż cię obchodzić może, piękna pani, pierwsza niedzielna schadzka skromnej panienki z biura?....

Ciemne oczy patrzą ku niej przez szklaną taflę szyby...

Złudzenie!

...Czarne szerokie brwi złączone nad nosem ... czoło wysokie, jasne.... i usta blade, wąskie, trochę uparte, szepcą....

— Szaleństwo, szaleństwo....

....Chodźmy, nudzę się!

— Nie grasz?

— Nudzę się.... Gapić się na numerki i wyrzucać pieniądze.... głupstwo.

— Uwielbiam grę!

— Sprzeczność....

— Życie jest grą.

— Banał!

— Cóż banalniejszego nad prawdę. ..

Nad tarasem blade niebo świtu. Pierzaste kiście palm kołyszą się nad balustradą. Zdaleka gra orkiestra. Przez rozchylające się liście widać morze. Skrzy się jak ogromny szafir wprawiony w półobręcz zatoki.

Schodzą wolno po szerokich schodach. Na dole, w szeregu czekających pojazdów smukły, ciemno-zielony samochód....

— Muszę wracać.... — mówi błagalnie mężczyzna.

Kobieta odrzuca w tył głowę i śmieje się głośno:

— Nie!

— Muszę... Są przecież inne jeszcze rzeczy oprócz miłości, choćby tak wielkiej jak nasza. Widzisz.... bądź dobra....

— Nie...

— Zapomniałaś, że byłem już czemś przed tobą!

— A ja?

— A ty — mężczyzna gładzi w zakłopotaniu jej rękę. — Ty będziesz dziś dobra i rozsądna, prawda? Odwieziesz mnie na dworzec...

Kobieta bierze go pod rękę i przyciska mocno do boku ramię mężczyzny.

— Odwiozę cię... do mnie.

W milczeniu schodzą po szerokich białych schodach....

Znowu łka rozdzierająco syrena samochodu. Ciemno-zielony samochód wije się na zakrętach ulic i znów daleka, wolna perspektywa asfaltu.

— Nie myśleć, nie myśleć.

Ciemne oczy pod czarną smugą brwi są ciągle tam, za szklaną taflą szyby....

...drży i zamazuje się niewyraźnie odbicie jego twarzy. Czuje pod dłonią dreszcz motoru, wstrząsający stalowem ciałem maszyny. Przed niemi, z krawędzi szyby zwisa i kołysze się w komicznych drgawkach lalka — maskota, pstre, kosmate dziwadło.

— Dziwnie pojmujesz miłość!

— Dziwnie? Raczej prosto...

— Ty i prostota...

— To jasne; nie znam tęsknot za nieosiągalnem. Kocham to, co jest moje, własne... co mi jest potrzebne... konieczne...

— Jak para podwiązek!

— Może...

Śmieje się głośno. Palce mężczyzny obejmują jej rękę powyżej łokcia i zaciskają zlekka. Przez jedwab płaszcza przenika ciepło tego dotknięcia...

— Puść... Zapominasz, że prowadzę auto... Mów, lubię, jak mówisz, lubię jak jesteś przy mnie. Gdybym mogła, zamknęłabym cię w złoconej klateczce i karmiła cukrem przez pręty... Kocham cię!

— Zapominasz, że prowadzisz auto...

— Nienawidzę cię, chcę, żebyś milczał, żebyś nie myślał, słyszysz? Żebyś nie myślał!

— Uwaga, zakręt.

— Milcz!

— Zwolnij...

— Milcz!

Pod górę rwie się ciemno-zielone auto, szara taśma drogi spływa mu wzdłuż kół, krawędzie szosy opadają coraz niżej...

— Dosyć... mówi mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

— Zostaniesz... śmieje się wzgardliwie kobieta.

Pęd wiatru gwiżdże im koło uszu i z szumem ociera się o lśniące boki maszyny.

— Nie będę więcej drugą maskotą w twojem aucie.

— Zostaniesz! — szydzi kobieta.

Nie patrzy mu w twarz... Oczy wlepione w szarą perspektywę drogi; zgięta nad kierownicą, jakby sprężona do skoku.

Daleko, nad poszarpanym wzgórzami horyzontem rozkwita złotem gorący dzień Południa.

Wóz zwija się na zakręcie i rwie naprzód, biorąc jeden wiraż za drugim, tuż, tuż nad krawędzią stromego zbocza...

— Co robisz, oszalałaś! Zwolnij!

Potrząsa przecząco głową i uśmiech rozchyla jej wargi.

Wicher gra im koło uszu, tamuje oddech.

— Nie odejdziesz! — krzyczy kobieta, nie potrafisz, będziesz tylko tem, czem ja zechcę!... Możesz tylko żyć ze mną, albo umrzeć! Trzeciego wyjścia niema. To właśnie jest gra, którą uwielbiam: rouge ou noir!

Wybieraj! Jeden ruch, a runiemy na złamanie karku. Miazga... Miazga!

— Jesteś szalona!

— Wybieraj! rouge ou noir, miłość i śmierć, wybieraj!... trzeciego niema! Miłość ze mną, albo śmierć przezemnie... Wybieraj, rouge czy noir...

Ciemno-zielone auto ślizga się po powierzchni szosy, coraz wyżej, coraz prędzej, czarne strome zbocze przepaści ociera się o jego koła. Powietrze warczy i dzwoni na lśniących bokach maszyny.

Nie odrywa oczu od szarej perspektywy drogi... Mężczyzna milczy. Czy blady jest? Pewnie blady, co myśli? Drży pod ręką rozszalały motor. Rouge et noir... Szaleństwo, szaleństwo!...

Jego głos nagle.

— Wybrałem.

Ciszej:

...Śmierć...

Potem z furją wściekłości:

— Skończ!

Czarna spadzistość przepaści zajrzała im w oczy i odbiegła ocierając się o koła wozu.

Na jej czole, policzkach i skroniach bladość kładzie się zimnem dotknięciem. I znów czarna krawędź musnęła koła wozu, biegnie wzdłuż auta, to bliższa, to coraz dalsza...

Ciemno-zielone auto zwalnia biegu. Stanęli.

Siedzą nieruchomi, milcząc długą chwilę.

Wreszcie wstał, pchnął drzwiczki, skoczył. Trzask drzwiczek zatargał maszyną. Wtedy dopiero oderwała źrenice od srebrnej linji horyzontu.

Jakby jakiś obcy człowiek stał przed nią i patrzał jej zuchwale w twarz.

— Do wszystkich moich podłości chciałaś dołożyć jeszcze jedną: tchórzostwo! — rzekł, a twarz skurczyła mu się, jakby ją chciał kąsać...

Patrzała na niego jakimś szklanym wzrokiem i było jej wszystko jedno. Cóż ją mógł obchodzić ten obcy człowiek. Poco tu stoi? Niech odejdzie.

— Chciałaś wiedzieć, jak wygląda mężczyzna w strachu przed kobietą... i nie wiesz, nie dowiesz się nigdy... odemnie!

Idzie w dół szeroką białą drogą; nad ciemnemi krawędziami wzgórz iskrzy się srebrem niebo. Odchodzi, coraz dalszy, coraz mniejszy, za chwilę, za chwilę roztopi się w potężnym świetle dnia...

I nagle!... Przecież to właśnie on! Odchodzi tam w dół drogi... Odchodzi i nie powróci nigdy... woli śmierć.

Dlaczego nie pchnęła maszyny za czarną, skałami zjeżoną krawędź; nie strąciła w przepaść?

Byłby został... na zawsze... na zawsze„

A tak? Głupstwo! Nie płakać... nie płakać... Naprzód, naprzód!... Zostało jeszcze auto i pęd... i życie... Wiatr osuszy, wypije łzy, wymiecie gorycz z kątów ust... naprzód, dalej...

Mury, domy, drzewa uciekają, uciekają... migają ludzkie twarze na zatłoczonych chodnikach twarze, twarze... Prędzej! Niech nie widzą łez kapiących na kierownicę...

Nie płakać, nie płakać... prędzej, prędzej, prędzej... Cicho świszczą koła trące asfalt jezdni.

I nagle tam zdaleka chodnikiem idzie ku niej znów... bronzowa smukła sylwetka... sama...

Więc nie przyszedł, a może jeszcze przyjdzie? Może wcale nie miał przyjść, niema go, nigdy go nie było... Spokój, serce bijące równo... Jeszcze nie wie, jeszcze nie zna tego, co jest rozkoszą i bólem, treścią i istotą życia!

W lewo przecznica; warkot, sygnał... motocykl! w prawo rozdzwoniony, purpurowy tramwaj... przed nią dorożka, ludzie przecinający jezdnię...

Gdzie... gdzie? w lewo... w prawo? naprzód? krzyczy rozdzierająco sygnał... Kierownica zwija się w ręce... Chodnik! Przerażone twarze... Tamta! blade usta rozwarte do krzyku... Mignęła bronzowa czapeczka... znikła... Ratunku!„ Stop... Padła twarzą na kierownicę... ktoś krzyczy... Tłum kołysze się wkoło auta. Ktoś ją ciągnie za rękę: Prędzej!„

Ktoś bierze ją pod rękę. Policjant.

Prędzej, prędzej...

Ktoś podpiera ją z drugiej strony.

Ktoś grozi wyciągniętą pięścią.

Ktoś z tyłu uderzył ją w plecy.

Obejrzała się.

Na lśniącym, zielonym boku auta lepkie rdzawe bryzgi.

Ohydne!

Coś leży na chodniku, bronzowy płaszczyk dziwnie zwiotczały i zmięty.

Ciągną ją: prędzej, prędzej!

Nie może iść, nogi wbiły się w płyty chodnika.

To coś nad czem chyli się tłum w przerażeniu i grozie, to coś zdeptane i zmiażdżone kołami auta, to — życie ludzkie.

Życie, w którem nie było może nic godnego wspomnień.

Dlaczego wije się nad niem i kłębi tłum ludzki i wygraża w oburzeniu brutalnej mocy maszyny.

Dlaczego nad nią nikt nie rozpacza i nie łamie rąk nad jej cierpieniem może większem, może okrutniejszem niż tamtej.

Bo czemże jest fizyczny ból i fizyczna śmierć, jeżeli nie czemś wstrętnem i odrażającem... Dlaczego ci wszyscy ludzie stoją tu przerażeni i wstrząśnięci. ludzie zdrowi i silni nad czemś, co niema już nazwy... A może... a może...

Wiedzieć, za wszelką cenę wiedzieć, co czuje tamta, co widzi oczyma szeroko rozwartymi w nieskończoność. Może widzi coś, czego dojrzeć nie może nikt ze stojących naokoło ludzi...

Bo może ona teraz właśnie w godzinie śmierci poznaje i odkrywa życie?...

Być na jej miejscu w oną bolesną chwilę śmierci. Być i wiedzieć, poznać i zrozumieć, że można z życia wydobyć coś więcej niż rozkosz... może cierpienie?... że z cierpiącego serca można wydobyć coś więcej niż nienawiść... może miłość?

I wtedy zrozumiałaby napewno dlaczego odszedł...

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

ŚWIAT FILMU

„Wielka miłość Beethovena"

Atlantic

Ewolucja produkcji kinematograficznej, dokonywująca się od dłuższego czasu zarówno za oceanem, jak i w Europie zbliżyła świat srebrnego ekranu do świata rzeczywistego. Film oderwany całkowicie od rzeczywistości niemal że nie istnieje. W najbardziej błahych komedjach, często mimo woli twórców, doszukać się można mniej lub więcej wyraźnego oparcia o rzeczywistość. W tych warunkach i nastrojach, przy przychylnym nastawieniu opinji publicznej, producenci filmowi coraz częściej biorą tematy swych obrazów wprost z życia. Coraz częściej widzimy na ekranie wierne odtworzenie życia jakiejś wybitnej jednostki. Światła i cienie kariery wielkiego uczonego wyraźnie uwypuklone na tle rzeczywistych przeciwności losu, stanowią często temat bardziej fascynujący od najciekawszych powieści czy scenariuszów (słynny „Pasteur"). Ileż więcej możliwości filmowych kryje się w przeżyciach wielkiego artysty? O ile ciekawsza jest konstrukcja psychiczna człowieka obdarzonego iskrą Bożą — geniuszu? Jakież pole do popisu otwiera się przed aktorem, na którego barki włożono zaszczytny obowiązek odtworzenia postaci Szopena, Beethovena czy innego wielkiego genjusza artystycznego.



Katarzyna Hepburn i Herbert Marshall w filmie „Zbuntowana".

Film „Wielka miłość Beethovena" stworzyło dwóch ludzi: nieprzeciętny reżyser (i zarazem scenarzysta) Abel Gance i natchniony tragik franc Harry Baur

Abel Gance — scenarzysta stworzył z wielkiego życia, ze wstrząsającej tragedji życiowej interesujący scenarjusz. Z bogatej w przeżycia historji Beethovena wybrał fragmenty najistotniejsze dla zrozumienia twórczości wielkiego artysty, wybrał chwile natchnionych wzlotów i tragicznych upadków i załamań, stworzył z suchego pamiętnika genjalnego muzyka, ze zrozumienia jego twórczości zamknięte w sobie, pełne prawdziwej poezji sceny filmu.

Abel Gance — reżyser do skończonego artystycznie dzieła Abla Gance'a — scenarzysty dorzucił nieprzeciętną znajomość techniki filmu, dobrał odpowiednie tempo, nastrój i oświetlenie, rzucił na szalę znakomite wyczucie wagi poszczególnych fragmentów i, operując wszystkiemi możliwościami nowoczesnego filmu, stworzył arcydzieło.

Trudną artystycznie postać Ludwika Beethovena odtworzył ponad wszelkie pochwały Harry Baur. Wielki ten tragik dał z siebie wiele. W rolę swoją włożył całą głębię wyczucia artystycznego. Potężna postać Beethovena żyła, cierpiała i tworzyła. Tragiczne przeżycia wielkiego muzyka w pełnej głębokiej ekspresji interpretacji Harry Baur'a wstrząsały prawdą odczucia, drastycznym realizmem i brutalną naturalnością. Nieuchwytne zmiany mimiki, subtelne cieniowanie wyrazu starannie przemyślanej maski Beethovena, chwilami potwornej w swej szpetocie, to znów pięknej wewnętrznym światłem natchnienia odtworzył Harry Baur z taką prawdziwością, że wstrząśnięta przeżyciami wielkiego artysty publiczność zapomina, że to gra. Przed naszemi oczami, wyczarowana natchnieniem reżysera zjawia się postać Beethovena, aby wśród potężnych akordów wielkiej muzyki przeżyć po raz wtóry tragedię swego nieprzeciętnego życia.

Ilustracja muzyczna wybrana przez prof. Harsona z dzieł wielkiego twórcy, dopełnia artystycznego wrażenia, dzięki starannemu i pełnemu zrozumienia wykonaniu Lukasa (partje fortepianowe) i zespołu (Konserwatorium Paryskiego (partje orkiestrowe).

J.

ŚWIAT FILMU



Steffi Duna z filmu „Tańczący Pirat".

Restaurator gwiazd

Wśród licznego sztabu, zatrudnionego w studio filmowym, jest jedna osoba, o której nikt nie mówi, a której rola jest bardzo trudna, kłopotliwa, a nawet odpowiedzialna. Jest to kierownik restauracji studia.

Zepsute przez sławę i pieniądze gwiazdy, są niezwykle wybredne, a nadto zawód nakłada na nie więzy, krępujące ich zachcianki i gust. Nie ma prawie ani jednej gwiazdy, któraby nie musiała się liczyć z „linią", a co za tym idzie — która nie byłaby niewolnicą diety. Co powiedziałaby publiczność, podziwiająca niezwykłą sylwetkę Katarzyny Hepburn, lub Ginger Rogers, gdyby na miejsce tych ideałów pokazano jej kobiety o nieco pełnych, ociężałych kształtach? Powodzenie gwiazdy jest ściśle związane z jej zewnętrznym wyglądem, a jaką rolę odgrywa przy tym figura — o tym wiedzą wszyscy. Oczywiście zdarzają się wyjątki, czego potwierdzeniem jest powodzenie Mae West, na które w znacznej mierze składa się jej wybujała kobiecość.

Ale zasadniczo moda na sylwetki wysmukłe nie minęła i aby uczynić zadość wymaganiom publiczności gwiazdy poddają się diecie, która prawie graniczy z głodem. Bo też w Hollywoodzie głód nie zależy od pieniędzy, ale pieniądze od głodu.

A odpowiedzialność za „linię" gwiazdy ponosi kierownik restauracji. Z pośród ograniczonego wyboru dań, jakimi rozporządza każda gwiazda, musi on układać „menu" urozmaicone i ściśle odpowiadające zamiłowaniom kulinarnym danej artystki. Niezwykła pamięć, pomysłowość i zdolności organizacyjne — oto zalety dobrego kierownika restauracji w studio filmowym!

Śniadanie Ginger Rogers składa się z filiżanki zimnej herbaty i bułeczki z szynką. Zimna herbata, zarówno latem jak zimą, jest ulubionym napojem pięknej tancerki. Wieczorem smukła Ginger ogranicza się do jajecznicy i herbaty. Jajka, w każdej postaci, i ser — oto jej główne pożywienie.

Katarzynę Hepburn stosunkowo łatwo zadowolić. Wybór jej przeważnie pada na filiżankę rosołu i mrożoną kawę.

Gene Raymond najczęściej pożywia się sałatą własnego pomysłu, sporządzoną z zielonej sałaty, pomidorów, kurczaka i sera szwajcarskiego.

Młodziutka Anne Shirley zjada w południe kapanpkę, którą zapija mlekiem.

Fred Astaire jest rzadkim gościem w restauracji studia. Najczęściej zjada on, w swojej garderobie, parę kanapek i wypija szklankę zimnego mleka.

Artystki filmowe nieraz same wykazują niezwykłą pomysłowość i uzdolnienia z dziedziny kulinarnej. Nieraz są one twórczyniami dań, które — rzecz jasna — zostają nazwane ich imieniem. Tak n. p. do restauracji studia RKO Radio często przychodzą artyści innych wytwórni, by uraczyć się daniem, zwanym „Specjalność Ginger Rogers". Jest to sałata, sporządzona z kilku jarzyn, białego sera i... pomarańczy. Kombinacja ta wydaje się tak niezwykła, że warto by było poprosić Ginger o dokładny przepis i wypróbować go u nas.

Gdy Taylor chciał być reżyserem...

Robert Taylor uważa swą karierę aktorską za wstęp do reżyserii. Nigdy jednak nie próbował zdolności w tym kierunku.

Zdarzyło się przy jednej ze scenek „Damy Kameliowej", że zwrócił się do Cukora z prośbą, by mu pozwolono wyreżyserować jeden fragment. — Reżyser uległ jego prośbom.

Taylor, pełen emocji, stremowany jak początkujący aktor, pod wrażeniem spojrzeń całego personelu i artystów, wziął tubę do ręki i... „kamera!" Rozpoczęto zdjęcia.

Scenę ukończono i Cukor, jeden z najzdolniejszych reżyserów świata, wyraził swe uznanie Taylorowi. Poczem bierze tubę do ręki i zwracając się do personelu mówi: „zaczynamy od nowa!"

Pokaz filmu na statku

Admirał Hepburn, szef marynarki wojennej U. S. A. gościł na pokładzie swego okrętu realizatorów filmu „Królowa Tańca".

Wśród obecnych znaleźli się również Luis B. Mayer oraz bohaterka filmu Eleanor Powell. Po bankiecie odbył się pokaz filmu, który został przyjęty entuzjastycznie przez całą widownię.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa